

---

*Child Maureen*

---

---

*Druga szansa dla Jennifer*

---

---

*Dynastia Connellych 04*

---

---

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

---

Chance Barnett nienawidził przyjąć!

Kazać mu uczestniczyć w towarzyskim spotkaniu to jak myśliwskiego psa trzymać na krótkiej smyczy. Wyrafinowana tortura.

Ale powiedział sobie, że mężczyzna czasami po prostu musi wystawić się na kule. Tyle że ta, na którą w tej chwili nadstawiał pierś, według jego skromnego zdania, była ogromna. Wielka jak armatni pocisk.

Zacisnął mocniej rękę na butelce piwa, którą go poczęstowano, i zaczął się przesuwac wzdłuż ścian. Z lekko zmrużonymi oczami oceniał swoją nową rodzinę. Co za cholerny sposób na przedstawianie się krewnym, którzy do tej pory nawet nie mieli pojęcia o ich istnieniu! Właściwie nie było lepszego pomysłu, więc jakoś będzie musiał to przeżyć.

Chyba nie było naprawdę dobrego sposobu na to, by jego i Douglasa, brata bliźniaka, wprowadzić do rodziny Connellych. Chociaż musiał przyznać świeżo poznanym krewnym, że przyjęli nowinę lepiej niż można się było spodziewać. W końcu nie co dzień staje się przed koniecznością zaakceptowania nowych członków rodziny, którzy do tego są nieślubnymi dziećmi, bliźniakami i mają po trzydzieści sześć lat.

Musiał też przyznać, że żaden z Connellych nie potraktował ani jego, ani Douglasa tak, jakby byli niewarci, by należeć do rodziny. Do diabła, nawet Lily i Tobias przyjechali z Palm Springs wcześniej, niż planowali, tylko po to, by ich poznać. Chance spojrział w kierunku tego starszego małżeństwa. Nie Lily i Tobias, przypomniał sobie, lecz jego dziadkowie. Niesamowite. Uśmiechnął się widząc, jak Tobias próbuje wymknąć się swojej drobnej żonie. Ale Lily, mimo że chodziła o lasce, była szybka. Bez trudu odebrała mężowi szklaneczkę whisky z ręki.

Interesujące: ten wielki mężczyzna tylko się do niej uśmiechnął i

czule cmoknął ją w policzek. Co człowiek może czuć, pomyślał Chance, spędzając całe życie z tą samą osobą? Jak to jest, gdy kocha się kogoś tak bardzo, że mimo upływu pięćdziesięciu lat patrzy się na tę osobę z miłością?

Tych dwoje starych ludzi dało początek dynastii. Doprawdy zdumiewające, jeżeli się nad tym zastanowić. Bo teraz rozgałęzioną rodzinę Connellych można już było uważać za amerykański odpowiednik rodziny królewskiej. Po prostu byli pod każdym względem królewscy.

A teraz okazało się, że Chance i Douglas Barnettowie także należą do tej wyjątkowej rodziny.

Pokiwał głową i ruszył dalej, dryfując wśród tłumu. Nagle jego uwagę przykuł metaliczny kobiecy głos. Zwolnił, żeby posłuchać.

Jego przyrodnia siostra, Alexandra, wysoka kobieta o kruczoczarnych włosach, przenikliwych zielonych oczach i imponującym sposobie bycia, skupiała na sobie uwagę towarzystwa, co w najmniejszym stopniu jej nie peszyło.

- Tak bardzo żałuję, że nie będziecie mieli okazji poznać Roberta, mojego narzeczonego - mówiła. -Niestety, wezwano go w sprawach służbowych.

Wszyscy uprzejmie skinęli głowami, ale Chance pomyślał, że facet ma szczęście. Przynajmniej udało mu się uniknąć tego spędu. Ruszył dalej, troszkę za szybko i poczuł, jak dokuczają mu założone szwy.

To mu przypomniało, dlaczego w ogóle mógł przyjść na to przyjęcie. Nie byłoby go tu, gdyby w ostatniej misji nie został ranny. Może właśnie w tej chwili przemierzałby ze swoim oddziałem jakąś dżunglę, tropiąc wroga? Tam, w znajomym środowisku, na pewno czułby się o wiele swobodniej. Tu, w mieście, czas mu się dłużył, a jeszcze trochę potrwa, zanim wyzdrowieje na tyle, by wrócić do służby. Do diabła! Niech to już nastąpi! Nawet nie rozpakował swojego żołnierskiego worka, by w każdej chwili być gotowym do wyjazdu.

Nie mógł się doczekać powrotu do swojej drużyny SEAL, powrotu do swojego miejsca na ziemi. Bo tu nie był na swoim miejscu, pomyślał ze złością. Zobaczył w tłumie Douglasa, rozmawiającego z kilkoma z ich nowych krewnych. Chciałby przynajmniej w połowie czuć się tu tak

swobodnie jak brat. Słyszał nawet, jak jego bliźniak opowiada nowo poznanej kuzynce o swojej byłej żonie i o tym, że się rozeszli, bo nie chciała dzieci, których Douglas tak bardzo pragnął. No, tak! Douglas doskonale wpasowywał się w tę rodzinę i chyba nawet bez oporu dołączył nazwisko Connelly do nazwiska Barnett, pod którym dorastali. Ale w końcu to zawsze Doug był tym dominującym bratem. I pewnie dlatego Chance wyrósł na wojownika, a Doug został lekarzem.

No, pomyślał, zaczynam wpadać w melancholię i dywagować.

- Przepraszam, sir. - Wysoki głos dobiegł go z tyłu i Chance obrócił się na pięcie. Zobaczył eleganckiego kelnera. - Czy mogę panu przynieść coś z baru?

- Nie, dziękuję - powiedział Chance, pokazując swoją prawie pełną butelkę z piwem. Pokiwał głową na myśl, że ci ludzie najprawdopodobniej na okrągło mają do swojej dyspozycji kelnerów i kamerdynerów. - Na razie to mi wystarczy.

Może z powodu wojskowego szkolenia, a może dlatego, że miał wrodzoną potrzebę zachowywania stałej kontroli nad otoczeniem, Chance rzadko pijał na przyjęciu więcej niż jedno piwo. Zwłaszcza na takim jak to, gdzie czuł się bardziej nie na miejscu niż żebrak w pałacu.

Kelner bezszelestnie wmieszał się w tłum, a Chance znów zaczął rozmyślać o ostatnich wydarzeniach. Jak to się stało, że tu wylądował? I kiedy będzie mógł wyjść, nie obrażając gospodarzy?

Poszedł w róg pokoju, oparł się plecami o ścianę i oddał się obserwowaniu zgromadzonych tu ludzi.

Komandos SEAL uczestniczący w przyjęciu w rezydencji na Lake Shore? Zachichotał w duchu, bo takie to było absurdalne. Do diabła, kto by w to uwierzył? W swoim białym galowym mundurze wyglądał obco na tle tego eleganckiego tłumu, kobiet w wytwornych koktajlowych sukienkach i mężczyzn w smokingach. Ale też po raz pierwszy w życiu znajdował się w pokoju, w którym aż gęsto było od jego krewnych.

Jego i Douglasa wychowała tylko matka, bez żadnej pomocy ze strony ich ojca. Byli zdani tylko na siebie, nie mieli poza sobą żadnej rodziny. Matka robiła dla nich wszystko, co się dało, ale nie mogła poświęcić tyle czasu, ile wszyscy troje by pragnęli. Nie mieli także krewnych. Tak więc dopiero w wieku trzydziestu sześciu lat po raz

pierwszy w życiu zetknął się ze swoją liczną rodziną i stał tu teraz, nagle otoczony gromadą kuzynów i przyrodniego rodzeństwa.

Niesamowite!

Wypił łyk piwa i milcząco przyznał, że rodzina to nie jest taka zła sprawa. Po prostu trzeba się do tego choć trochę przyzwyczaić. Z drugiego końca pokoju Douglas złapał jego spojrzenie i zrobił taką minę, jakby mówił:

„Możesz w to uwierzyć?”. Chance od razu poczuł się swobodniej.

On i jego bliźniak przez całe życie pomagali sobie, gdy któryś z nich wpadał w tarapaty. Długo będą mogli nawzajem na siebie liczyć. Choć do nazwiska Barnett dodadzą nazwisko Connelly, nie ma to wielkiego znaczenia i niewiele zmieni w ich życiu.

Jednak, mimo że tak to sobie tłumaczył, chciałby chociaż na chwilę wydostać się stąd i odetchnąć świeżym powietrzem. Ruszył w stronę szklanych przesuwanych drzwi prowadzących na taras. Przytłumiony gwar rozmów i ciche dźwięki fortepianu towarzyszyły mu, gdy przeciskał się przez tłum. Ale, dotarwszy do tarasu, stwierdził, że nie uda mu się pobyc tam samemu.

Na tarasie, oświetlona popołudniowym słońcem, stała jakaś kobieta. W jej jasnych, krótkich włosach igrał wiatr. Chance ją znał. W ciągu kilku ostatnich dni od czasu do czasu się tu widywali. To była Jennifer Anderson, asystentka Emmy Connelly. Niezbyt wysoka, o idealnej figurze, dziś miała na sobie ciemnozieloną sukienkę z falbaną u dołu, sięgającą troszkę powyżej kolan. Chance zwrócił uwagę na perfekcyjnie zgrabne nogi. Nie uszedł jego uwagi także biust Jennifer, wysoko osadzony i pełny, oraz talia tak szczupła, że gdyby dano mu taką możliwość, Chance chyba mógłby ją objąć rękami. Stała nieruchomo i wpatrywała się w jezioro, ale Chance zmarszczył czoło, zauważając, że kobieta osłania ręką usta i bezwiednie kuli ramiona.

Natychmiast coś w nim się obudziło. Instynkt, który zawsze pchał go do bronienia potrzebujących i tym razem dał mu sygnał. Chance rozsunął szklane drzwi. Wiatr od jeziora o mało nie wcisnął go z powrotem do pokoju. Ale komandos SEAL nie poddaje się tak łatwo. Chance pochylił głowę, spokojnie wyszedł na kamienny balkon i bezszelestnie zasunął za sobą drzwi.

- Opanuj się, kobieto - szepnęła Jennifer do siebie, zanim Chance mógł dać jej znać o swojej obecności. - Płacz nic tu nie pomoże, a tylko sprawi, że będziesz wyglądała okropnie.

Chance uznał, że nie może tak tego zostawić.

- Proszę pani - odezwał się cicho. - Jest pani piękna, nawet wypłakując wszystkie łzy.

Gwałtownie się odwróciła. Nie była zadowolona, że przyłapano ją na płaczu. Ale rozpoznała Chance'a i z jej oczu zniknęło ostrzeżenie mówiące: „Odejdź i zostaw mnie w spokoju”.

- Zaskoczył mnie pan - powiedziała, wycierając ręką zdradziecki ślad łez na policzku.

- Przepraszam - odparł, chociaż wcale nie było mu przykro. - To mi już weszło w nawyk. Szkolą nas w cichym poruszaniu się.

Jej brwi wygięły się w łuk.

- To nie jest dżungla, panie kapitanie - zauważyła Jennifer. - Tutaj ludzie pukają, gdy chcą dokądś wejść.

- Ma pani rację. - Podszedł bliżej. - Ale to dotyczy sytuacji, gdy człowiek chce wejść do środka. Natomiast ja wychodziłem na zewnątrz.

- Wspaniale - mruknęła ponuro, wystawiając znów twarz na podmuchy wiatru. - Zamierza pan prowadzić dyskusję na temat językowych niuansów?

Patrzyła na horyzont, celowo ignorując Chance'a w nadziei, że sobie pójdzie. Nie mogła kazać mu odejść. Był przecież dawno utraconym synem jej chlebodawcy, i właśnie na jego cześć wydawano to przyjęcie. Więc albo wyjdzie z własnej woli, albo ona będzie musiała wrócić do towarzystwa i udawać, że wszystko jest w porządku.

Boże, proszę, niech on odejdzie!

Tymczasem Chance Barnett Connelly stanął obok niej i oparł się rękami o balustradę. Spojrzała na te silne, opalone ręce, którymi tak mocno ścisnął balustradę, że aż pobieleły mu kostki. Najwyraźniej musi być tak samo zdenerwowany jak ona. Ale powody tego napięcia były całkiem odmienne.

- A więc - powiedział, wbijając spojrzenie w chmury wiszące nad horyzontem - czym się pani tak martwi?

- Wcale się nie martwię. - Wyprostowała się. Nie życzyła sobie ani

nie potrzebowała niczyjego współczucia. A już zwłaszcza od mężczyzny, którego w ogóle nie znała. Poza tym on był jednym z Connellych. Gdyby mu powiedziała, inni też by się szybko dowiedzieli, a ona chciała wszystko utrzymać w tajemnicy tak długo, jak tylko to będzie możliwe. A przynajmniej do chwili, kiedy uda jej się porozmawiać z Emmą.

Bo Emma była nie tylko pracodawczynią, lecz również w pewnym stopniu zaczęła jej zastępować matkę. Swojej rodzonej matki Jennifer prawie nie pamiętała. Jej rodzice umarli dawno temu. Teraz, gdyby nie jej córeczka, Sarah, Jennifer nie miałyby już nikogo bliskiego na świecie. I właściwie wcale jej to nie przeszkadzało. Aż do wczoraj.

- Taak - mruknął Chance, patrząc na nią z ukosa.

- Gdy widzę piękną kobietę stojącą samotnie na tarasie i płaczącą, podczas gdy obok odbywa się przyjęcie... jest dla mnie oczywiste, że coś ją martwi.

Jennifer wciągnęła niesione wiatrem ostre, zimne powietrze, próbując zaczerpnąć z niego siłę.

- Dziękuję za zainteresowanie, ale nic mi nie jest. Naprawdę - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to przekonująco, ale wiedziała, że jej się nie udało.

- Hm.

- Mówię poważnie.

- Właśnie widzę. Popatrzyła na niego kątem oka.

- Ale pan mi nie wierzy.

- Nie.

- No więc - odparła, odpychając się od balustrady - to już pański kłopot, nie mój, prawda?

Chwycił ją za ramię.

- Proszę nie odchodzić.

Jego ręka była ciepła i silna. Jennifer czuła to tak, jakby otaczała nie tylko jej ramię, lecz także jej cierpiące serce. Zatrzymała się w pół kroku i spojrzała w oliwkowe oczy o niezwykłym odcieniu. Serce Jennifer odrobine przyspieszyło. Przyjrzała się intruzowi. Dostrzegła stanowczy, jak wyrzeźbiony podbródek, nos pewnie przynajmniej raz złamany, ciemne włosy, choć ostrzyżone krótko, w wojskowym stylu, mimo to układały

się w fale, które wzbudzały pragnienie wsunięcia w nie palców.

I jaki on jest wysoki! A ramiona... tak szerokie, że mógłby nimi osłonić ją przed całym złem świata. Dziś na pewno takie ramiona bardzo by jej się przydały. Oparłaby się na nich, a one by ją podtrzymały. Ale Jennifer za bardzo już przywykła do stania o własnych siłach, by w chwili słabości skorzystać z bliskości nieznanego.

- Nie chcę się wtrącać - powiedział Chance tak, jakby czytał w jej myślach - ale skoro już i tak tu jestem, to chętnie pomogę, jeżeli to możliwe.

Co za pokusa!, pomyślała. Och, co za pokusa! Ale nie! Pokręciła głową.

- Jestem wdzięczna, ale..

- Nie zna mnie pani.

- No... właśnie.

- Czasami tak jest lepiej. - Nadal trzymał ją za ramię, jakby się obawiał, że umknie mu z tarasu. I zrobiłaby to, gdyby miała choć cień szansy. A wtedy on się uśmiechnął i poczuła ciepło w sercu. - Opowiedzenie obcemu człowiekowi o swoich kłopotach jest jak rozmowa z samym sobą. Tyle że nie odpowiadasz sobie na własne pytania i nie ryzykujesz tym, że zamkną cię w pokoju bez klamek.

Kąciki jej ust zaczęły się unosić i musiała zwalczyć budzącą się w niej wesołość. Przecież nie może się uśmiechać po tym, co lekarz powiedział wczoraj na temat stanu jej córki? Ta okropna myśl wystarczyła, by wymazać z jej twarzy wszelki uśmiech. Znow otworzyła się przed nią przepaść i poczuła, jak jej serce opada tam na samo dno.

- Hej! - zawołał Chance i lekko uścisnął jej ramię. - Co się stało? Proszę mi powiedzieć. Może jednak będę mógł jakoś pomóc. - Lekko pochylił głowę i jeszcze raz się uśmiechnął. - Jestem komandosem SEAL. Szkolono mnie, bym się zachowywał jak bohater. Tak więc proszę mi pozwolić, bym pospieszył pani na ratunek, dobrze?

Jennifer spojrzała przez ramię na ludzi za szklanymi drzwiami, a potem znow odwróciła się do Chance'a. Do licha, pomyślała, w końcu mogłaby przez chwilę skorzystać z jego silnego ramienia.

- Chodzi o moją córkę- wyrzuciła z siebie szybko, żeby nie zmienić zdania.



Jego oczy spochmurniały.

- Ma pani córkę?

- Tak. - Już na samą myśl o Sarah uśmiechnęła się. Obraz dziecka stanął jej przed oczami. Duże ciemne oczy w okrągłej twarzączce, przeważnie czymś umorusanej. Związane gumką nad uszami kucyki, właściwie nawet nie kucyki, a cieniutkie pędzelki ciemnych włosów. Małe pulchne rączki i krótkie, mocne nóżki. Pocałunki leciutkie jak muskanie motyli skrzydełek, uściski lepkich łapek. Łaskotanie po brzuszku i radosny śmiech.

Ale przypomniała sobie też lekarzy w białych fartuchach, długie, groźnie wyglądające igły i łyż Sarah.

- Och, Boże! - Jennifer jęknęła i szybko przycisnęła rękę do ust, by powstrzymać krzyk.

To takie niesprawiedliwe!

- Chodź do mnie - szepnął Chance. Odwrócił ją do siebie i mocno przytulił.

Ponieważ bardzo potrzebowała bliskości drugiego człowieka, nie odsunęła się.

Wtulona w jego szeroką pierś, stała tak przed chwilę, obejmując go w pasie i czerpiąc z tej bliskości siłę, którą tak szczerze się z nią dzielił. Czuła, jak niezręcznie poklepuje ją po ramieniu i jakoś dziwnie to jej pomogło. Przecież wiedziała, że tak naprawdę nic się nie zmieniło, ale sam fizyczny kontakt i płynąca z niego pociecha zmniejszyły jej strach i, przynajmniej przez moment, świat nie wydawał się tak przerażający jak jeszcze kilka minut temu.

- Powiedz - usłyszała szept, nadpływający gdzieś znad jej głowy. - Powiedz mi, co się stało?

- Chodzi o Sarah. O moją córkę. Musi mieć operację. Operację serca. Jest w nim mała szczelina. - Po raz pierwszy od chwili, gdy lekarz powiadomił ją wczoraj o chorobie córki, wypowiedziała to głośno.

- Aha. - Usłyszała uspokajające, niosące pociechę krótkie słowo, a może tylko zwykły, trochę głośniejszy oddech. Odczuła współczucie w lekkim wzmocnieniu uścisku. - Ile ma lat? - spytał Chance.

- Półtora roku - szepnęła, patrząc ponad jego ramieniem na jezioro, ale w rzeczywistości, oczami duszy widziała Sarah. - Jest taka maleńka.

Taka drobniutka. To nie miało prawa się zdarzyć!

- Nie, nie miało - przyznał cicho. - Okropność! Jennifer skinęła głową.

- Tak - powiedziała, wdzięczna, że jeszcze ktoś myśli tak jak ona i wypowiada to na głos. - To okropne.

Scandalous

---

## *ROZDZIAŁ DRUGI*

---

Chance nie uważał się za człowieka szczególnie wrażliwego, mimo to odczuwał przerażenie Jennifer, które targało jej drobnym ciałem. Był wstrząśnięty.

Głęboko zakorzeniony instynkt podpowiedział mu, że trzeba biec jej na ratunek. Bronić. Ale nic, czego się nauczył na wojskowych treningach, tu by się nie przydało. I ta świadomość była jak gorzka pigułka, którą musiał przełknąć.

Do diabła! Nie potrafił nawet wymyślić żadnego pocieszającego słowa. „Okropność”. Doprawdy, Chance, potrafisz być elokwentny!

Trzymał Jennifer w objęciach z nadzieją, że jego milczące wsparcie jakoś jej pomoże. Dziwne, jeszcze kilka dni temu nie wiedział o istnieniu tych wszystkich ludzi, zresztą nawet gdyby wiedział, mało by go to obeszło, a teraz stoi na balkonie rodzinnej rezydencji i trzyma w ramionach płaczącą kobietę.

- Co ja robię? - szepnęła Jennifer. Odsunęła się od Chance'a i na wszelki wypadek odstąpiła o krok. - Poplamie panu mundur.

Nieważne, pomyślał, patrząc w jej zielone oczy. Były wielkie, wilgotne i smutne, ale bez śladów rozmazanego tuszu. Na policzkach Jennifer pozostały jedynie ślady łez, które starała się powstrzymywać. Za to też ją podziwiał. Miała prawo pogrążyć się w obezwładniającym strachu. Ale zamiast tego całą siłą woli mocno się trzymała, robiła wszystko, by nad sobą zapanować. Do licha, nawet nie pragnęła jego współczucia. Więc co właściwie mógłby dla niej zrobić?

- Chce pani wrócić do gości? - spytał.

- Dobry Boże, nie! - Podeszła z powrotem do balustrady.

Odwracając głowę od Chance'a i szklanych drzwi, dodała: - Nie chcę, by zobaczyli, że płakałam. Nie zniosłabym teraz ich pytań.

Potrzebowała się chronić. Doskonale to rozumiał. Skoro nie może jej eskortować przez tłum gości, może przynajmniej jej ułatwić powrót na przyjęcie.

- Jasne. Wobec tego proszę tu poczekać. Zaraz wracam.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, Chance już był w pokoju. Panujący tu hałas sprawił, że natychmiast utracił spokój, jaki odczuwał, będąc na tarasie.

Skoncentrowany na swoim zadaniu, nie zwracał uwagi na ludzi wokół siebie. Szedł przez tłum z taką samą determinacją, z jaką wypełniał swoje bojowe zadania. Myślał tylko o celu, do którego dążył i o tym, by osiągnąć go w możliwie najkrótszym czasie. Ale to wcale nie było takie łatwe, jak się spodziewał. Po prostu kręciło się tu za dużo osób.

Rzucił jedno tęskne spojrzenie w kierunku wyjściowych drzwi, ale zaraz zapomniał o swoim pragnieniu wydostania się stąd i powrócił do wykonywania zadania.

W końcu dotarł do kuchni. Gdyby w drewniany roboczy blat tworzący wysepkę pośrodku tego pomieszczenia nagle strzelił piorun, kelnerzy czekający na kolejne tace do wyniesienia nie byłiby bardziej zdumieni niż na widok wchodzącego tu członka rodu Conellyph.

- Potrzebuje pan czegoś, panie Chance?

Z wdzięcznością spojrział na kobietę, która go o to spytała, przeszukując pamięć, by przypomnieć sobie jej imię.

- Ruby, prawda?

- Tak, to ja - potwierdziła gospodyni, kiwając głową z taką energią, że ze szpakowatego koku wysunął się pukiel włosów.

W ciągu tych kilku dni spędzonych w mieście Chance widział, jak sprawnie i zdecydowanie ta kobieta kieruje domem Conellyph - a także żelazną ręką rządzi rodziną. Grant i Emma mogli uważać, że to oni tu mają władzę, ale w rzeczywistości kapitanem była Ruby.

Ta niska, przyjemnie pulchna kobieta o miłym spojrzeniu niebieskich oczu, potrafiła zmusić ludzi do wykonywania swoich poleceń i Chance to doceniał. Przypominała mu oficera, który sam, niezauważony, stoi przed ekranem radaru i ma pełny obraz wydarzeń. Widział, jak jego przyrodni bracia i siostry posłusznie i z pośpiechem robili to, co im Ruby kazała. Do diabła, nawet jego ojciec, Grant, nie wnosił sprzeciwu, gdyż

to Ruby stanowiła tu prawo.

Zresztą była tu od tak dawna, że nawet nie przyszłoby jej do głowy, iż ktoś może zakwestionować jej polecenia. W wojsku pewnie doszłaby już do stanowiska Szefa Połączonych Sztabów. Natomiast tu prowadziła gospodarstwo Connellych tak, że wszystko działało jak w szwajcarskim zegarku.

- Potrzebuje pan czegoś? - powtórzyła, przywołując go do porządku jak roztargnionego dzieciaka.

Chance spojrzął na ciekawskich kelnerów kręcących się po kuchni. Nie chciał mówić przy nich. Ruby to zauważyła i głośno klasnęła w rękę.

- Co wy tu jeszcze robicie? - huknęła na nich.

- Wracajcie do pracy. Goście czekają na drinki i kanapki.

Kelnerzy rozbiegli się i nie minęło kilka sekund, a kuchnia opustoszała.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział Chance.

- Bo popędziłam ich do roboty? To nic takiego.

- Ruby roześmiała się. - Ale szkoda mi ich. Zostali zatrudnieni dorywczo, do pomocy przy tym przyjęciu, ale wygląda na to, że matki zapomniały nauczyć ich dobrych manier. - Pokiwała głową z dezaprobatą.

- Mam takie dziwne przeczucie, że pani już się zatroszczy o ich maniery - powiedział z uśmiechem.

Wyprostowała się i wyprężyła pierś.

- Zrobię, co się da w tym krótkim czasie, jaki tu pozostaną - zapewniła go. - No, więc czego pan potrzebuje, paniczku Chance?

Lekko się wstrząsnął, słysząc ten tytuł. Dotąd zwracano się do niego „kapitanie”, i na to sobie zasłużył. Zgodziłby się nawet na okrzyk „hej, żeglarzu”, ale „panicz Chance”? Co za określenie!

- Po prostu Chance, dobrze? Leciutko się uśmiechnęła i skinęła głową.

- Dobrze, niech będzie Chance. - Przyglądała mu się przez chwilę. - Wiesz, z oczu jesteś podobny do ojca. O wiele bardziej niż twój brat.

Chance poczuł się niezręcznie. Nie lubił, gdy mu przypominano, że jest podobny do mężczyzny, który ignorował jego i brata przez całe ich życie. Jednak nie powiedział tego głośno. Zresztą co miał odpowiadać na

takie uwagi? „Dziękuję” nie wydawało się odpowiednie. Tak więc pominął to milczeniem.

W końcu nie przyszedł tu w poszukiwaniu rodziny. Miał Douglasa. Po śmierci matki nikt im już nie został. Mieli tylko siebie. I do tej pory to im całkowicie wystarczało.

Przyszedł tu tylko dlatego, że Doug tak chciał. Ale gdyby podczas ostatniej misji nie postrzelił go ten nędzny, podstępny terrorysta, nie musiałby wkładać galowego munduru i znosić tego całego ceremoniału otaczającego Connellych. Jednak, z drugiej strony, nie byłoby go tutaj, by przybiec na ratunek Jennifer. To mu przypomniało, po co przyszedł do kuchni.

- Czy mógłbym dostać szklankę wody i chusteczki higieniczne? - poprosił.

Ruby spojrzała na niego w zamyśleniu.

- Czujesz, że zbliża się napad płaczu? Chance podchwycił żart.

- Tak, proszę pani. Jestem naprawdę wzruszony.

- Tak, właśnie widzę - parsknęła. Ale zaraz, już bez słowa, zakręciła się po kuchni, i po chwili wróciła z tym, o co ją prosił. Jednak, gdy już szedł do drzwi, jeszcze go zatrzymała. - Powiedz ode mnie Jennifer, że wszystko skończy się dobrze.

Popatrzył ze zdziwieniem na gospodynię. A nie powinien być zdziwiony. Przecież już zauważył, że nic nie uchodziło jej uwagi.

- Słucham?

- Pracuję u Connellych dłużej niż chciałabym przyznać, więc zdążyłam już poznać ich wszystkich na wylot. A dziś zauważyłam, że Jennifer ma jakieś kłopoty.

- Byłaby pani świetnym wywiadowcą.

- Bzdura! Co to takiego: wywiadowca! - rzuciła, machając lekceważąco ręką. - Byłabym doskonałym superdetektywem.

- Wie pani co? - roześmiał się i puścił do niej oczko. - Wierzę pani. - I uciekł z kuchni, bo jeszcze mogłaby wydać mu rozkaz, którego bałby się nie wykonać.

- Co ja najlepszego robię - powiedziała Jennifer na głos. Stała z rękami zaciśniętymi na balustradzie tarasu i wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w jezioro Michigan. - Znalazłaś sobie doskonały sposób na

zachowanie pracy, Jen. - Energicznie potrząsnęła głową i zamrugła powiekami, by odpędzić łzy, przysięgając sobie uroczyście, że nie popłyną.

O czym ona w ogóle myśli? Jak mogła płakać, tuląc się do honorowego gościa swoich pracodawców?

- Na litość boską - mruknęła, zaciskając jeszcze mocniej ręce na poręczy. Wystawiła twarz na wiatr wiejący znad jeziora i pomyślała, że będzie miała szczęście, jeżeli ten nowy członek rodziny nikomu nie powie o jej żenującym zachowaniu. Ale z pewnością już rozmawiał z Emmą, prosił, by tu przyszła i ją pocieszyła, bo na pewno chciał jak najszybciej przekazać opiekę nad zwariowaną sekretarką komuś innemu. Mogła go sobie wyobrazić, jak przeciska się przez tłum i pędzi do wyjścia. I wcale nie miałyby mu tego za złe. Niewielu mężczyzn miałyby ochotę towarzyszyć płaczącej kobiecie i ocierać jej łzy. A zwłaszcza trudno wymagać tego od mężczyzny, który jej nawet nie zna.

Usłyszała, jak drzwi na taras się otwierają, wpuszczając na chwilę dźwięki fortepianu i gwar rozmów, a potem znów się zamykają.

Nie odwróciła się. Nie musiała. Wiedziała, kto przyszedł. Czowała jego obecność niemal jak wyładowanie elektryczne. Jej nerwy naprężyły się jak naciągnięte struny i poczuła mrowienie na karku.

Zły znak!

- Przepraszam, że zajęło mi to tyle czasu - powiedział, a jego głos poruszył ją bardziej, niż się spodziewała.

Jen, opanuj się, nakazała sobie ostro. Twoje kłopoty nic go nie obchodzą. Nie ma między wami nic prócz zawstydzającego ataku płaczu. A poza tym jest pasierbem twojej szefowej.

Więc dlaczego nagle zacisnął jej się żołądek i zabrakło tchu?

Bo jesteś idiotką, odpowiedziała sobie i odwróciła się, by na niego spojrzeć.

Ale to tylko pogorszyło sprawę. Pomyślała o tym, jaki jest przystojny, i na tym polegał cały kłopot. Wyglądał jak mężczyzna z reklamy. Albo jak jeden z prawników z serialu „J.A.G.". Na tle migocących wód jeziora i kwietniowego nieba jego mundur lśnił najczystsą bielą. Wzrok Jennifer przyciągnęły baretki medali i odznaka SEAL. Potem spojrzała wyżej, w jego oczy, i zobaczyła w nich... troskę. I to niemal przywiodło

ją znów do płaczu.

Niech to szlag!

- Dobrze się pani czuje? - spytał Chance.

- Och, doskonale - załkała.

Podał jej pudełko z chusteczkami. Z prawdziwą wdzięcznością wzięła jedną, wytarła oczy i nos, ale nie poczuła się od tego lepiej.

- Proszę. - Podał jej wysoką, jasnoniebieską szklankę. Co to jest?, można było wyczytać z jej wzroku.

- Nic niebezpiecznego. - Głośno się roześmiał. - To tylko woda.

Wzięła szklankę i zaczęła pić. Chłodna woda złagodziła ból zaciśniętego gardła.

- Dziękuję - powiedziała, unosząc ku niemu wzrok. - Za chusteczki i wodę.

- Do usług, proszę pani.

- Ale na pewno nie przewidywał pan, że będzie musiał pełnić tak niebezpieczną służbę tu, na przyjęciu.

Wzruszył ramionami.

- Och, przyjęcie czy atak terrorystów, SEAL poradzi sobie ze wszystkim.

- Dobrze wiedzieć - szepnęła, a potem odwróciła się znów i wpatrzyła w jezioro. Nie mogła patrzeć na Chance'a. To zakłócało równowagę jej ducha. O wiele lepiej dla jej nerwów będzie mieć przed oczami widok jeziora, wielkiego jak ocean, jego wzburzonych fal, i słyszeć miarowe uderzenia o brzeg.

- Niech mi pani opowie o swojej córce - powiedział spokojnie, a Jennifer na chwilę zamknęła oczy, czując przyływ zarówno żalu, jak i czułości.

Ale przynajmniej tyle mu była winna za to, że pozwolił jej się wypłakać na swoim ramieniu.

- Jest taka mądra - rozpoczęła swoją opowieść, chociaż głos jej drżał. Duma i radość, jaką momentalnie odczuła, mówiąc o Sarah, sprawiły, że poczuła się silniejsza. - Zaczęła mówić, zanim jeszcze skończyła rok, a teraz już się ze mną wyklóca. - Zachichotała. - będzie nastolatką - „gdy, a nie jeżeli” dopowiedziała sobie w duchu - pewnie będziemy się kłóciły bez przerwy.



- Pewnie tak - wtrącił z uśmiechem Chance. - Doug i ja doprowadzaliśmy naszą biedną mamę do szału. Oczywiście Sarah zapewne nie będzie ścigać się na motorach, więc przynajmniej ten kłopot pani odpadnie.

Spojrzała na niego, nawet nie bardzo zdziwiona jego słowami. W końcu był komandosem SEAL. I wyraźnie swoją pracę uwielbiał ponad wszystko. Tak więc było rzeczą naturalną, że jako nastolatek oddawał się niebezpiecznym rozrywkom.

Zupełnie jak Mike, pomyślała, i ogarnęła ją kolejna fala bólu. Ci dwaj pasowaliby do siebie. A wtedy, jakby wyczuwając, o czym ona myśli, Chance powiedział:

- Pani mąż pewnie też jest bardzo dumny z Sarah.  
- Mój mąż nie żyje. - Długo trwało, zanim przyzwyczaiła się wymawiać te słowa spokojnym tonem.  
- Och, przykro mi.  
- Przecież pan o tym nie wiedział - powiedziała cicho. - Nie ma powodu, by czuł się pan niezręcznie. Mąż umarł już prawie dwa lata temu. - Ciężko westchnęła. - Nawet nie zdążył zobaczyć Sarah.

Minęła przykra, pełna napięcia chwila, zanim Chance znów się odezwał.

- Mnie też mama wychowała samotnie, więc wiem, jakie to jest trudne.

Spojrzała na niego, w te oczy koloru whisky i wyczytała w nich zrozumienie. Uśmiechnęła się. Pomyślała z podziwem o jego matce, bo fascynowały ją kobiety, które samotnie, z pełną odpowiedzialnością podejmowały decyzję o wychowaniu dziecka.

- Czy mogę spytać, jak umarł pani mąż?  
- Mike był oficerem policji - powiedziała, unosząc głowę. - Zginął na służbie. Byłam wtedy w ciąży z Sarah. Nigdy jej nie zobaczył.  
- Może jednak tak - powiedział Chance, a Jennifer spojrzała na niego zaskoczona. - Może widzi ją stamtąd, gdzie jest.  
- Chciałabym w to wierzyć.  
- Przez te wszystkie lata w SEAL widziałem tak wiele dziwnych wydarzeń, by przekonać się, że wszystko jest możliwe. - Milczał chwilę, a potem dodał: - Ja też nie znałem swojego ojca. - Roześmiał się

gwałtownie. - Aż do teraz.

Jennifer pokiwała współczująco głową, ale ucieszyła się, że Chance dał jej okazję do zmiany tematu. Nie chciała mówić o Mike'u.

- Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest

- powiedziała, dobierając ostrożnie słowa. - Poznać swojego ojca po tylu latach...

- Ja też nie bardzo wiem, co mam czuć - przyznał, wystawiając twarz na chłodny, ostry wiatr od jeziora.

- Ale - dodał, wzruszając ramionami - dla Douga to jest ważne, więc jestem tutaj.

- Przyszedł pan tylko ze względu na brata?

- A jaki inny powód mógłbym mieć?

- No, przede wszystkim, żeby poznać swoją rodzinę.

- Nie. Teraz, gdy mama zmarła, moją rodziną jest Doug. Reszta... - Znów pokiwał głową, jakby nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Connelley'owie to mili ludzie - zauważyła Jennifer. Chciała, by wiedział, że jego nowa rodzina chętnie go przyjmowała do swojego grona.

- Chyba tak.

- Byli cudowni dla mnie i Sarah.

- Jeżeli Sarah jest choć w najmniejszym stopniu podobna do pani, to nie ma się czemu dziwić - powiedział z leniwym uśmiechem.

Och, ten uśmiech! Jest tak samo niebezpieczny jak ten mężczyzna, pomyślała sobie Jennifer. Musi się mieć na baczności. Nie potrzebuje teraz tego rodzaju komplikacji. Jej światem jest Sarah. Całą uwagę musi skupić na tym, by córeczka wyzdrowiała. A ponieważ ten mężczyzna za bardzo ją intryguje, najlepiej zrobi, trzymając się na dystans.

- Ja... - spojrzała z prawdziwym żalem na szklane drzwi. Wiedziała, że musi wreszcie zejść z tarasu, ale nie miała ochoty na towarzyskie pogawędki teraz, gdy w sercu czuła taki ból. Jednak to przyjęcie było bardzo ważne dla Granta i Emmy. Sama od wielu tygodni pomagała je organizować. A więc, niezależnie od własnych uczuć, musi dalej wykonywać swoją robotę. - Powinnam już wrócić do towarzystwa - powiedziała i nawet sama usłyszała w swoim głosie niechęć.

Chance odszedł od balustrady i przesunął spojrzenie od drzwi do

Jennifer. Spozrzegł, że nie ma ochoty wracać do tego rozgadanego tłumu. Widział to w jej oczach. Była w nich bezradność i lęk.

Oczywiście, to nie jego sprawa, ale poczuł, że w jakiś sposób są do siebie podobni. Jennifer była samotną matką, tak samo jak jego mama. Jej mąż służył społeczeństwu, swojemu krajowi, tak samo jak on, Chance. Mąż Jennifer zapłacił za to najwyższą cenę. Przepeliła go narastająca potrzeba zaopiekowania się nią, i zanim zdążył pomyśleć, powiedział:

- Wydaje mi się, że na przyjęciu doskonale mogą się obejść bez nas. Czy wobec tego mógłbym panią odwiedzić do domu?

Zastanawiała się nad tą propozycją przez parę chwil. Widział po jej minie, jak bardzo chce się stąd wydostać. Był ciekaw tylko, czy się na to zdecyduje.

- Bardzo bym chciała - powiedziała w końcu - ale nie wydaje mi się, bym.

- W tym tłumie nikt nawet nie zauważy, że nas nie ma.

- Emma zauważy., Jennifer miała rację.

- Dobrze, więc z nią się pożegnamy. Zresztą ja też powinienem jej podziękować.

Zobaczył, że Jennifer jeszcze się waha. Pewnie zastanawiała się, czy powinna przyjąć propozycję człowieka, którego właściwie wcale nie zna, nawet jeżeli jest odnalezionym krewnym jej chlebodawców.

- Może mi pani zaufać - powiedział.

- Nie o to chodzi - odparła pośpiesznie.

- Więc o co? Nie proponuję pani wyjazdu na Jamajkę, a jedynie odwiedzenie do domu. - Dlaczego tak mu zależało na przekonaniu jej? Sam nie wiedział. Nagle odczuł przemożną potrzebę, by bezpiecznie odwiedzić ją do domu.

Jennifer spojrzała jeszcze raz przez szklane drzwi i wzdrygnęła się. Naprawdę nie miała ochoty tam wracać. On także nie miał najmniejszej ochoty wmieszać się z powrotem w ten tłum.

- Proszę mi zrobić tę przysługę - powiedział nieoczekiwanie.

- Jaką? Uśmiechnął się.

- Uratować mnie od powrotu na przyjęcie.

- Od losu gorszego niż śmierć? - zaśmiała się.

- Właśnie.

Skinęła głową i wiedział, że wygrał tę batalię.

- Dobrze - powiedziała, podejmując decyzję. - Chyba nie powinnam zaprzepaścić okazji, by zostać bohaterką.

Scandalous

---

## ROZDZIAŁ TRZECI

---

Wracając na przyjęcie, Jennifer poczuła, jakby wpadła na ścianę hałasu. Przez chwilę miała nawet pokusę, by odwrócić się na pięcie i uciec z powrotem na taras, ale nic by tym nie osiągnęła. Musi się wreszcie stąd wydostać. A lepiej to zrobić teraz, gdy ma przy sobie silnego mężczyznę, który toruje jej drogę. Czowała na swoim łokciu jego ciepłą, dodającą otuchy rękę. Dziwne, ale nie doświadczyła takiej opieki od śmierci Mike'a i nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej tego brakowało. Ale właśnie w ciągu tych dwóch lat takie drobne uprzejmości, których już właściwie nie doświadczała, uświadamiały jej, jak wielką pustkę Mike pozostawił po sobie.

Nie było nikogo, kto odsunąłby dla niej krzesło w restauracji. Nikogo, kto zagwizdałby na taksówkę tak głośno, że przyjechałoby od razu kilka. Nikogo, kto w środku nocy zabiłby pajaka w łazience. Nikogo, kto rozmasowałby jej zimne stopy. Nikogo, z kim mogłaby szeptać w kinie. No i nikogo, o kogo ona chciałaby dbać, gotować dla niego, troszczyć się na co dzień.

Na jej ustach pojawił się smutny uśmiech. Oczywiście każda szanująca się feministka dostałaby ataku serca, gdyby mogła czytać w myślach Jennifer. Tyle że mało ją to obchodziło. Zawsze uważała się za kobietę wystarczająco wyzwoloną, ale po prostu lubiła być zamężna. Uwielbiała być połówką pary. I czasami tak jej tego brakowało, że aż krwawiło serce i wyła dusza.

Jednak wystarczył jeden słodki uśmiech Sarah i wszystko znów było w porządku. Skarciła się w duchu za takie myśli, bo przecież nigdy nie będzie naprawdę sama. Nie będzie sama, póki ona i Sarah będą miały siebie nawzajem.

A to z kolei zwróciło jej myśli ku operacji serca, jaką wkrótce

córeczka będzie musiała przejść, i znowu łzy przesłoniły wzrok Jennifer. Co z tego, że według zapewnień lekarzy wszystko będzie dobrze? Każda interwencja chirurgiczna zawsze stanowi ryzyko. Czy Sarah ma wszelkie szanse, by w pełni wrócić do zdrowia?

To jej dziecko. Jej krew. I nawet nie potrafiła myśleć o tym, że mogłaby ją utracić. Nie potrafiła sobie wyobrazić świata bez swojej córeczki, więc w ogóle starała się o tym nie myśleć. Zamrugła gwałtownie powiekami, zatrzasnęła drzwi przed czarnymi, przyprawiającymi o rozpacz myślami i przyspieszyła kroku. Teraz pragnęła tylko wydostać się stąd, zanim ludzie zaczną ją bombardować pełnymi troski pytaniami.

- Tam są gospodarze - powiedział Chance.

Jennifer spojrzała w prawo, podążając wzrokiem za jego ręką. Emma oraz Grant właśnie rozmawiali z Sethem i żadne z nich nie wydawało się zadowolone.

Jennifer instynktownie przystanąła. Nie chciała się im narzucać w tej najwyraźniej pełnej napięcia chwili.

- Chyba mają coś do omówienia - powiedziała. - Może nie powinniśmy im przeszkadzać.

- Nie zatrzymamy ich długo - odparł Chance, biorąc ją zdecydowanie pod rękę. - Zaraz będą mogli wrócić do swojej sprzeczki - dodał z uśmiechem.

Podchodząc bliżej, usłyszeli, jak Seth mówi:

- Ja po prostu muszę jechać się z nią zobaczyć. Mamo, naprawdę nie chcę sprawiać ci przykrości, ale Angie Donahue jest moją biologiczną matką i muszę się dowiedzieć, co się stało, że tak nagle mnie wezwała. - Dotknął ręki Emmy. - Wszystko będzie dobrze. Przysięgam. I wrócę.

Emma przez łzy spojrzała na męża, który chwilę bacznie wpatrywał się w Seta, jakby chciał zobaczyć jego myśli. W końcu odezwał się cicho:

- Musisz postąpić tak, jak ci dyktuje poczucie obowiązku, synu. My cały czas będziemy myśleć przy tobie, jak zawsze. I będziemy czekać na twój powrót do domu.

Jeżeli nawet Seth chciał coś odpowiedzieć, Emma go powstrzymała gestem, widząc nadchodzących Jennifer i Chance'a. Uśmiechnęła się do

nich i pogłaskała Seta, by go uspokoić.

- A wy dwoje co takiego knujecie? - spytała.

- Chciałem tylko podziękować za to przyjęcie - powiedział Chance - i pożegnać się.

- Pożegnać?! - wykrzyknął Grant. - Tak wcześnie?

Spojrzenie Jennifer pobiegło od ojca do syna i chociaż wiedziała, że Chance pewnie nie byłby z tego zadowolony, stwierdziła wielkie podobieństwo między nimi. Mieli nie tylko podobne rysy twarzy, lecz przede wszystkim emanująca z nich aura pewności siebie sprawiała, że ludzie w naturalny sposób na nich polegali.

I pewnie z takiej przyczyny Grant tak dobrze sobie poradził w świecie biznesu, a Chance robi karierę w marynarce. Jennifer ani przez chwilę nie wątpiła, że w odpowiednim czasie zostanie admirałem. Mężczyźni tacy jak oni są urodzonymi zdobywcami. Różnica między nimi polegała jedynie na celu, do którego dążyli.

- Jennifer źle się poczuła - wyjaśnił Chance.

- Obiecałem, że odwiozę ją do domu.

- Aha. - Grant w zamyśleniu skinął głową, przenosząc wzrok od syna do Jennifer i z powrotem.

Jennifer poczuła, jak pod wiele mówiącym spojrzeniem Granta na jej policzki występuje rumieniec.

- Ja... - zaczęła szybko i ponaglała się w myślach. - Boli mnie głowa - skończyła. No, niezbyt to błyskotliwe, ale nie chciała teraz opowiadać o chorobie Sarah.

- Kapitan Barnett uprzejmie się zaofiarował, że odprowadzi mnie do domu.

- Barnett? - Grant spiorunował syna wzrokiem. Jennifer wiedziała, że sprawa jest bardzo delikatna.

Chance chciał zachować nazwisko, pod którym żył od urodzenia. Nazwisko, które dała mu matka. A Grant równie mocno pragnął, by Chance nosił jego nazwisko, co też było naturalne. Ciekawe, kto zwycięży w tej walce.

- Sir - powiedział Chance, wyciągając rękę do ojca - dziękuję. To było miłe przyjęcie.

- Chyba okropnie się tu czułeś, co? - zaśmiał się Grant.

- Rzeczywiście - przyznał Chance.
- Wiedziałem, że tak będzie. Jesteś taki sam jak ja.
- Możliwe.

Grant objął żonę ramieniem.

- To Emma uwielbia przyjęcia. Kocha gwar i tłum. Sama wszystko organizuje, a potem tylko mi mówi, kiedy mam się pokazać.

Emma żartobliwie wymierzyła mu kuksańca w bok.

- To prawda. On raczej woli wychodzić w nielicznym gronie albo żeglować.

- Więc może jesteśmy do siebie bardziej podobni niż myślałem - zgodził się Chance.

Jennifer widziała, jak usta Chance'a wygięły się w leciutkim uśmiechu, a na ten widok, ku wielkiemu zdumieniu, poczuła w sobie jakieś rozkoszne drgnienie.

- Cieszę się z tego „może” - powiedział Grant z uśmiechem. - Na początek.

- Uczciwe postawienie sprawy - stwierdził Chance.

- No, dobrze - odezwała się Emma. - Jennifer, mam nadzieję, że jutro będziesz się czuć lepiej. Weź sobie wolny dzień.

- Och, nie muszę...

- Wolny dzień to jeszcze nie koniec świata - oznajmiła stanowczo Emma. A potem spojrzała na Chance'a.

- Bądź ostrożny. Bez Jennifer nic by tu nie zostało zrobione jak trzeba.

- Tak jest, proszę pani - powiedział Chance. Chwilę później już prowadził Jennifer do drzwi. Szli, omijając tłum i jakoś udało im się uniknąć zatrzymywania przez znajomych. Chance zabrał ich płaszcze, a potem zaraz skierował Jennifer do frontowych drzwi. Gdy znaleźli się na ulicy, twarze owiał im zimny wiatr.

- Zaparkowałem trochę dalej - powiedział Chance.

- Może pani tu zaczeka, a ja zaraz podjadę?

- Dziękuję, ale chętnie się przejdę.

- Jak pani woli - odparł z uśmiechem, wziął ją pod rękę i poszli w kierunku Michigan Avenue.

- Aż trudno uwierzyć, że znalazł pan tutaj miejsce do parkowania.



Uśmiechnął się szelmowsko i Jennifer aż zabrakło tchu. Jego uśmiech był potężną bronią, ale ona od dwóch lat miała swoją tarczę obronną.

- Przecież jestem z SEAL. A dla nas nie ma rzeczy niemożliwych.
- Będę o tym pamiętała.

Wyczuwając, że Jennifer nie ma ochoty rozmawiać o swoich kłopotach, po drodze opowiadał jej historyjki z dzieciństwa. Słyszała dumę w jego głosie, gdy mówił o matce i o tym, co zdołała zrobić dla niego i brata. Jennifer miała nadzieję, że kiedyś również Sarah będzie o niej mówiła z taką serdecznością.

Robiła, co mogła, by być dla córki jednocześnie matką i ojcem. Ale to nie było wcale łatwe. Mimo że miała tak dobrą pracę i wyrozumiałą chlebodawczynię, każdy dzień przynosił nowe problemy i nie wiedziała, za co brać się najpierw. Nie miała pojęcia, jak kobiety, którym układa się jeszcze gorzej, w ogóle mogą przeżyć.

- Pańskiej mamie musiało być trudno - powiedziała, odwracając głowę, by na niego spojrzeć. Wiatr zwał jasne pasma włosów na jej twarz. Niecierpliwie je odsunęła.

- Tak, było jej trudno - przyznał Chance, patrząc gdzieś w przestrzeń, jakby oglądał minione lata. - Było jej bardzo ciężko. Ale wtedy tego nie rozumieliśmy. Udawało jej się to przed nami ukryć. Mama nie należała do tych kobiet, które tylko bezradnie rozkładają ręce, narzekają i marzą o jakiejś zmianie. Miała zwyczaj mówić, że jedyne, co człowiek może zmienić w swoim życiu, to on sam. Tak więc trzeba robić wszystko najlepiej, jak się potrafi.

- Mądra kobieta.

- O, tak. - Spojrzał na Jennifer i znów obdarzył ją tym swoim wspaniałym uśmiechem. - Polubiłaby panią.

- Naprawdę? Dlaczego pan tak myśli?

- Bo córka jest dla pani taka ważna.

Coś zacisnęło się w sercu Jennifer, ale odpowiedziała tylko:

- Jest dla mnie wszystkim.

- Widzę.

- Łatwo to zauważyć, prawda?

- Czy zna pani zwrot: „Czytać jak w otwartej księdze”?

Jennifer się roześmiała.

- Mike mawiał, że z konieczności muszę być uczciwa, bo nie potrafiłabym ukryć, że kłamię.

- Taki sam dobry powód dla uczciwości jak każdy inny - stwierdził Chance, zatrzymując się przy wiśniowym land roverze.

- To pana? - spytała.

- Wypożyczony - wyjaśnił, otwierając przed Jennifer drzwi. - Przyjechałem do miasta tylko na krótko.

- A potem gdzie się pan wybiera? - spytała, zapinając pasy.

- Wracam do mojego oddziału SEAL.

- A stamtąd?

- Tego dowiadujemy się dopiero w ostatniej chwili. Zatrzęsnał drzwi, obszedł samochód i wszedł. Też zapiął pasy i, zapalając silnik, lekko poprawił się na fotelu. Nagle się skrzywił.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Jennifer.

- Nic takiego. Po prostu zapomniałem, że muszę się ostrożnie ruszać. Naciągnąłem sobie szwy.

Szwy? Pytanie to było wypisane na jej twarzy.

- Podczas ostatniej misji zostałem ranny - powiedział, wzruszając ramionami na znak, że to nic wielkiego.

- Ranny? - Jej wzrok pobiegł w kierunku jego boku, jakby mogła coś zobaczyć przez mundur. - Chce pan powiedzieć, że postrzelono pana?

- To naprawdę nic poważnego.

- Ach - mruknęła, kiwając głową. - Lekka rana postrzałowa. Zapewne nazywa pan to draśnięciem. To w stylu Johna Wayne'a?

- O co pani chodzi? - Popatrzył na nią ze ściągniętymi brwiami.

Och, nic takiego - odparła, zaciskając ręce na kolanach i odwracając się do okna.

Taki sam jak Mike, pomyślała. Jak odciski z tej samej formy. Niebezpieczna praca. Ryzykowanie życiem. Ale według nich to nic takiego.

Jak osoba przy zdrowych zmysłach może sądzić, że stawanie oko w oko ze śmiercią to drobiazg? Co zmusza niektórych mężczyzn - a także kobiety - do wybierania zawodów, w których kładą na szali swoje życie?

- Jennifer - odezwał się, przerywając jej rozmyślenia. - Może mi pani powiedzieć, co tak panią nagle wzburzyło?

Odwróciła się, by na niego spojrzeć. Rysy jego twarzy wiele mówiły o doświadczeniach. Wydawałby się nieugięty i groźny, gdyby nie malująca się w oczach dobroć.

- Nie mogę tego zrozumieć! - wybuchnęła. - Co wy, mężczyźni, macie w ogóle w głowie?

- My, mężczyźni? - powtórzył z lekkim uśmiechem. - Czy mogłaby pani to sprecyzować?

- Mężczyźni tacy jak pan. I jak Mike.

- Pani mąż?

- Mój zmarły mąż! - poprawiła.

- Jennifer...

- Chcę wiedzieć - zażądała z naciskiem, patrząc mu w oczy - co powoduje, że z pełną świadomością wybieracie sobie pracę, która zagraża waszemu życiu? Dla dreszczu emocji? Nieustanne niebezpieczeństwo zapewnia wyższy poziom adrenaliny?

Jego rysy się wyostriły.

- Spędziłem całe lata na doskonaleniu się w swojej pracy i pani mąż zapewne też. Człowiek nie dokonuje takiego wysiłku tylko dla zwykłego dreszczyku.

- Więc po co? - Wiedziała, że Chance ma rację. Mike ciężko pracował jako policjant. Kochał to. Żył służbą i dla niej umarł. Teraz już nie mogła go spytać, co nim powodowało, więc zażądała odpowiedzi od tego mężczyzny, który wybrał sobie taki sam styl życia.

- By służyć - powiedział po prostu. - Pomagać. Walczyć o swój kraj. To brzmi staroświecko i naiwnie, co? Ale taka jest prawda.

Jego słowa rozbrzmiewały echem w zamkniętej przestrzeni samochodu, gdy kontynuował:

- Zarówno żołnierz, jak i policjant robią to, co musi być zrobione. Nie kieruje nimi chęć przeżywania jakichś dreszczyków emocji. Przypuszczam, że pani dobrze o tym wie. To nie jest łatwe życie, ale jedyne, jakie znam. I jakiego pragnę. Zresztą wydaje mi się, że tak samo było w przypadku pani męża.

Jennifer głęboko westchnęła. Patrząc na Chance'a, słuchając go, wiedziała, że ma rację. Czowała to. I jakaś część jej serca nawet się z nim zgadzała. Sama przez jakiś czas żyła jak w okopach. Ale musiała

przyznać, że odważni mężczyźni są światu potrzebni, ale żyć z takim to zupełnie inna sprawa. Wiedziała o tym z własnego doświadczenia. Denerwowała się za każdym razem, gdy Mike wychodził z domu. Modliła się. A to i tak nie uchroniło go od śmierci.

Za nic nie zgodziłaby się jeszcze raz żyć w takim nieustannym strachu. Nawet z mężczyzną, który jest intrygujący, przystojny i... nosi śnieżnobiały marynarski mundur.

Nie. W jej życiu była teraz tylko jedna osoba. Córka. Nie miała miejsca w sercu ani w głowie na nic innego. Wszystko inne tylko odwracałoby jej myśli od tego, co w życiu najważniejsze.

Scandalous

---

## ROZDZIAŁ CZWARTY

---

- Niech pan tu skręci - wskazała Jennifer, przyglądając się przez okno mijanym ulicom. Nie po raz pierwszy pomyślała, że jej dzielnica uczciwie zasługuje na swoją nazwę - Oak Park, Dębowy Park. Wzdłuż ulic biegły szpalery starych dębów. Teraz, wiosną, z pąków zaczynały się rozwijać już pierwsze listki, a latem gałęzie utworzą zielone, chłodne tunele chroniące przechodniów przed obezwładniającym upałem. Jennifer uśmiechnęła się do siebie, zauważając cementowe fale na chodnikach. W innych miastach najmniejsze wybrzuszenie spowodowane wyrastającymi na powierzchnię korzeniami natychmiast skazywało drzewo na wycięcie. Jednak tu władze miejskie bardzo dbały o zielen, a gdy korzenie drzew rujnowały chodniki, robotnicy po prostu kładli nową warstwę.

- Ładna ulica - zauważył Chance.

- Tak - przyznała, wyglądając przez okno. - Nie tak dawno jeszcze ta okolica umierała, ale w ostatnich latach młodzi wykształceni ludzie odkryli piękno Oak Park i zaszczepili tu nowe życie. Teraz dzielnica stała się bardzo modna i gdyby Mike nie odziedziczył po ciotce domu, nie byłoby nas stać na zamieszkanie tutaj. Niedaleko jest dom Franka Lloyd Wrighta.

- Tego architekta?

- Tak. To urocze miejsce, chociaż dla mnie może trochę za nowoczesne.

Rzucił jej długie spojrzenie.

- Pani jest trochę staroświecką kobietą, prawda? - zadał jej dość obcesowe pytanie.

- W pewnych sprawach tak - przyznała. - Na przykład, gdy chodzi o te stare wille. Są po prostu... przytulne. Wydają mi się jakieś cieplejsze. I

mają wyraźny styl.

- Chyba rozumiem, co pani ma na myśli - odparł z uśmiechem. - Stare domy przetrzymały wiele burz i zasłużyły sobie na to, by tu być.

Ciekawe ujęcie sprawy, pomyślała. Ale jakże zgodne z prawdą.

- Tak, chyba na tym to polega. Niektóre domy mają ponad sto lat. Dawały schronienie kolejnym pokoleniom tej samej rodziny, wytrzymywały kataklizmy, i wszystkie potrzebują teraz trochę troski. Ja nawet współczuję tym biednym domom, które są wyburzane tylko po to, by zrobić miejsce dla tych okropności z chromu i szkła.

Chance roześmiał się.

- Romantyczka! Kto by pomyślał? Romantyczka? Nie. Może kiedyś, gdy jako młoda, naiwna dziewczyna wychodziła za Mike'a. Wtedy patrzyła na świat przez różowe okulary. A gdy przeprowadzili się do tego miłego domku po jego ciotce, była pewna, że jeszcze jako staruszkowie będą tu razem siadywać wieczorami na ganku.

Ale te nadzieje pogrzebała razem z Mikiem i teraz uważała, że jest realistką. Nie wierzyła już w szczęście. Jej bajka dobiegła kresu. Ale nie ma sensu mówić o tym Chance'owi. Nie zostanie tu tak długo, by mogło go to interesować. Nie ukrywał, że chce jak najszybciej wyjechać. Jeszcze tydzień czy dwa i wróci do swojego niebezpiecznego życia. No i dobrze, pomyślała Jennifer. Bo ona zostanie tutaj, usiłując przejść przez pole minowe, jakie nagle się przed nią pojawiło, i przeprowadzić przez nie swoją córkę.

- Mój dom to ten po lewej - powiedziała. - Ten niebieski, z wózkiem przy schodach.

Serce jej się zacisnęło na myśl o tej, niestety, możliwości, że Sarah, jej wózek i inne zabawki - te same zabawki, na które ciągle narzekała, że są wszędzie porozrzucane - mogą wkrótce zniknąć z jej życia. Szybko odsunęła od siebie te złe myśli. Przecież lekarz powiedział, że to stosunkowo prosta operacja. Zapewnił ją, że chociaż każda interwencja chirurgiczna zawsze stanowi pewne ryzyko, w tym przypadku to właściwie standardowy zabieg?

Standardowy zabieg!

Jak coś, co wymaga otwarcia klatki piersiowej jej małej córki, może być nazwane standardowym zabiegiem? W oczach zakręciły jej się

ły. Szybko zamrugła powiekami, by je odpędzić.

Chance skręcił na podjazd i zaparkował za przechylonym lekko na bok samochodem. Nie pojechała nim na przyjęcie, bo rano, gdy wyszła z domu, zobaczyła, że jedna opona jest klapnięta. Dlatego właśnie chętnie skorzystała z propozycji Chance'a i teraz siedzi obok mężczyzny, który samą swoją obecnością wzbudzał w niej uczucia, jakich od dawna przy nikim nie doświadczyła.

Chance wyjął kluczyki ze stacyjki, zaciągnął ręczny hamulec i nagle w samochodzie zapadła absolutna cisza. Słyszeć było tylko uderzenia piłki o drzwi garażu kilka domów dalej.

- Widzę, że pani samochód miał jakąś przygodę - zauważył Chance po chwili milczenia.

Na te słowa mimo woli uśmiechnęła się.

- W dzieciństwie wierzyłam, że gdy właściciele śpią, samochody wyjeżdżają na przejażdżki, no, wie pan, na spacer wzdłuż plaży, spotykają się z innymi samochodami i jadą do jakiegoś garażu na kieliszek oleju.

Chance uśmiechnął się również.

- I dziś w nocy mój samochód widocznie gdzieś po drodze miał jakiś drobny wypadek.

- Więc dlaczego pani nie zmieniła opony?

- No, rzeczywiście! - Uderzyła się ręką w czoło. - Jak mogłam o tym nie pomyśleć?

- Głupie pytanie, co?

- Nie - odparła. - Wcale nie. - Po śmierci Mike'a musiała sama dbać o tyle spraw: naprawiać przeciekające krany, wymieniać przepalone bezpieczniki. - Tylko, niestety, jeszcze nie przeszłam kursu zmieniania opon.

- Chętnie to dla pani zrobię.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie. Tak bardzo pragnęła powiedzieć: „Byłoby wspaniale”. Jednak mądrzejsza część jej umysłu wiedziała, że nie należy zaciągać następnych długów wdzięczności u Chance'a Barnetta Connelly'ego. Im większy dystans zachowa wobec tego mężczyzny, który jednym spojrzeniem wprawiał jej krew we wrzenie, tym lepiej.

- Nie, dziękuję. Naprawdę nie musi się pan kłopotać.
- Wiem, że nie muszę. Ale to żaden kłopot.
- Jasne - parsknęła, sięgając do klamki. - Smugi brudu ślicznie ozdobią pański biały mundur.

Na chwilę rysy mu się wyostrzyły, ale zaraz obdarzył ją szerokim, wesołym uśmiechem.

- Och, rzeczywiście, nie pomyślałem o tym - mruknął, wruszając ramionami. - Zapomniałem, że nie jestem w roboczym kombinezonie.

Faktycznie, nie jest, pomyślała Jennifer, ale w tym mundurze wygląda tak, że aż zapiera dech w piersi. Niezwykle korzystnie.

- A więc - powiedziała mimo wszystko spokojnie, odpinając pasy - dziękuję za podwiezienie.

Chance obszedł samochód i otworzył jej drzwi. Westchnęła z niechęcią. Najwyraźniej nie zamierzał po prostu zostawić jej tutaj i odjechać. Sama nie była pewna, co w związku z tym czuje, bo ten człowiek zakłócał jej wewnętrzną równowagę. Och, wydawał się miły, ale, na miłość boską, ledwo go znała. A przecież godzinę czy dwie temu płakała na jego ramieniu, zalewając łzami jego mundur i, na dodatek gdzieś głęboko w sobie czuła... przyjemne ciepło.

Tak więc czas powiedzieć temu żeglarzowi, by odpłynął w długi rejs. Bo chciała już wejść do domu - sama, zajrzeć do Sarah i zaparzyć sobie filiżankę herbaty.

Chance otworzył drzwiczki i podał jej rękę, by pomóc wysiąść z samochodu. Jennifer patrzyła chwilę na tę wyciągniętą do siebie dłoń, próbując zdecydować, czy powinna skorzystać z pomocy, czy też samej zeskoczyć z wysokiego progu. Nagle wyobraziła sobie, jak by wyglądała ześlizgując się niezręcznie na ziemię z wysoko zadartą spódniczką, i... decyzja zapadła.

- Dziękuję - powiedziała i chwyciła go za rękę. Ciepło popłynęło wzdłuż jej ramienia aż do serca, fale gorąca ogarnęły całe jej ciało.

- Cała przyjemność po mojej stronie - mruknął i spojrzał jej głęboko w oczy.

Wyszarpnęła rękę natychmiast, gdy tylko dotknęła stopami ziemi, ale to jej w niczym nie pomogło. Nadal czuła jego dotyk. Zacisnęła pięść i, starając się zignorować to doznanie, obdarzyła Chance'a swoim najład-



niejszym, choć wymuszonym uśmiechem.

- No - odezwała się, ale zaraz musiała przerwać, by przełknąć ślinę i obniżyć trochę głos, który zabrzmiał dziwnie piskliwie. - Chyba pójdę już do domu.

- Odprowadzę panią do drzwi.

- Nie trzeba - zaczęła, ale gdy zobaczyła determinację w jego spojrzeniu, zrozumiała, że nie pozbędzie się go tak łatwo.

Pchnęła siatkowe drzwi i szybko weszła na szeroką werandę.

Chance przyglądał się jej. Nawet gdyby zaraz miało go za to pochłonąć piekło, nie potrafiłby odwrócić od niej wzroku. Podziwiał kołyszące się biodra, włosy falujące przy każdym ruchu, szczupłe łydki i zgrabne kostki. Pamiętał wrażliwość w jej spojrzeniu. Do licha, ta kobieta mogła rzucić na kolana nawet mężczyznę twardszego niż on.

A on w tej chwili nie był w najlepszej formie.

Gdy Jennifer zatrzymała się przed frontowymi drzwiami, Chance rozejrzał się po tej przytulnej werandzie. Cementową podłogę, pomalowaną na jaskrawą czerwień, przykrywały szmaciane dywaniki, za małym stolikiem, zastawionym do podwieczorku „na niby”, siedziały lalki. Ogarnęło go jakieś dziwne uczucie litości dla tego chorego dziecka, którego nawet jeszcze nie znał.

Przesunął z powrotem spojrzenie na Jennifer. Z każdą chwilą bardziej ją podziwiał. Wiedział, jak ciężkie ma życie. Jego własna matka zapracowała się na śmierć, by wychować jego i Douglasa. Pamiętał, jak krucho było zawsze z pieniędzmi, jak nieustannie była zmęczona. Ale pamiętał również, co czuł, wiedząc, że jest bezwarunkowo kochany.

Przypominając sobie teraz wyraz zielonych oczu Jennifer, gdy mówiła o chorobie swojej córki, Chance zrozumiał, że cokolwiek się zdarzy, Sarah może liczyć na miłość matki.

Ta myśl przywiodła mu na pamięć także inne wspomnienia. Wspomnienie o mężczyznach, którzy zapraszali jego matkę na randki, i swoje uczucia wobec nich, gdy z nużącą regularnością mieszały się w życie jego rodziny. Nie miał matce za złe, że szuka miłości. Natomiast miał za złe tym mężczyznom, że udawali zainteresowanie sprawami jego i Douglasa, a potem znikali, nawet się nie oglądając, gdy romans dobiegał końca.

Już dawno temu przysiągł sobie, że będzie się trzymał z daleka od samotnych matek. Nie będzie taki jak tamci, którzy wdzierali się w życie dziecka, a potem pozostawiali po sobie jedynie wspomnienia i żal z powodu niedotrzymanych obietnic. I aż do dziś dotrzymał tego przyrzeczenia.

Więc co, do diabła, on tu jeszcze robi?

Jennifer otworzyła drzwi i weszła do mieszkania. Nie czekając, aż przyjdą mu do głowy kolejne niewygodne pytania, ruszył za nią.

Pierwsze, co rzucało się w oczy, to zabawki. Podłogę dosłownie zasłoniły lalki, książeczki do kolorowania i pluszowe zwierzątka. Drzwi wejściowe otwierały się bezpośrednio na bawialnię i z progu Chance mógł ogarnąć spojrzeniem niewielkie pomieszczenie. Chociaż meble, dość zresztą zużyte, wprost się tu tłoczyły, pokój wydawał się przytulny raczej niż zagracony. Na wypolerowanych stolikach leżały ładne serwetki, w kominku palił się nikły ogień. Na ścianach w kolorze brzoskwini wisiały rodzinne fotografie w ramkach. Drzwi po prawej prowadziły chyba do kuchni, a po lewej widać było ciemny korytarz, zapewne z wejściem do sypialni.

- Pani Sorenson?! - zawołała Jennifer, rzucając torebkę na najbliższy stolik. - Już, wróciłam.

- Jestem tutaj! - odkrzyknęła starsza, sądząc z brzmienia głosu, kobieta.

Jennifer poszła w kierunku korytarza po lewej stronie. Wyglądało na to, że całkiem zapomniała o obecności Chance'a. Dobrze wiedział, że powinien sobie pójść. Ale nie zrobił tego. Wprost przeciwnie. Ruszył za Jennifer, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że nie powinien wtykać nosa w jej sprawę jeszcze głębiej niż do tej pory.

Jednak z jakiegoś powodu jeszcze nie był gotowy, by odejść. I nawet nie miał ochoty zastanawiać się, jaki impuls każe mu tu pozostać.

Jennifer weszła w ostatnie z czworga drzwi. Patrząc nad jej głową, Chance zobaczył ścianę pokrytą jasno żółtą tapetą w stokrotki. Gdy stanął na progu, Jennifer właśnie podbiegała do dziecięcego łóżeczka.

- Jak ona się czuje? - spytała niespokojnie.

Pytanie to było skierowane do pulchnej, niskiej kobiety, o rudych, przetykanych siwizną włosach i twarzy z wyraźnymi zmarszczkami

świadczącymi o tym, że często się śmieje.

- Bardzo dobrze - odparła kobieta z uśmiechem. - Chciała się jeszcze pobawić, ale padła i zasnęła, biedne kurczątko.

Jennifer nachyliła się i pogłaskała córeczkę po czole poznaczonym smugami brudu.

- Wiem, powinnam była ją umyć - tłumaczyła się pani Sorenson - ale była tak śpiąca, że nie chciałam jej rozbudzać.

- Nic się nie stało - odparła Jennifer. - Później ją umyję.

- Więc - zaczęła pani Sorenson, biorąc książkę ze stolika stojącego obok fotela na biegunach - jeśli będzie mnie pani potrzebowała, proszę zawołać. Ale wygląda na to, że ma pani pomoc.

Jennifer spojrzała na nią ze zdziwieniem i, widząc jej zaciekawione spojrzenie, westchnęła. Dobrze wiedziała, że wcześniej czy później jej sąsiadka będzie chciała się dowiedzieć wszystkiego o tym wysokim, przystojnym marynarzu, który stał na progu. Ale nie teraz.

- Pani Eva Sorenson, kapitan Chance Barnett Connelly - przedstawiła ich sobie krótko.

- Uwielbiam mężczyzn noszących dwa nazwiska - roześmiała się pani Sorenson, obdarzając Chane'a uśmiechem.

- Wobec tego zachowam obydwu - powiedział Chance, odwzajemniając jej uśmiech.

- Hm - mruknęła pani Sorenson. - Słodki i szybko replikuje. - Rzuciła badawcze spojrzenie na Jennifer.

- Uważaj na niego, skarbie. Na pewno w każdym porcie ma po pół tuzina dziewczyn.

- Tylko pół tuzina? - oburzył się Chance.

- Ważna jest jakość, nie ilość - odparowała pani Sorenson.

- Zapamiętam to sobie.

- Radzę się postarać - ostrzegła go pani Sorenson, a potem dodała: - Jim będzie zaraz dopominał się kolacji, więc lepiej już pójdę. Sami wiecie, jacy są mężczyźni, gdy nie dostaną posiłku na czas.

- Mimo wszystko pogodni? - spytała Jennifer, bo nie pamiętała, by kiedykolwiek okrążyła twarz Jima Sorensona nie jaśniała uśmiechem.

- Och, życie z wiecznym optymistą wcale nie jest takie zabawne - zachichotała pani Sorenson.

I poszła, zostawiając Jennifer i Chance'a z uśpionym dzieckiem. Chance powiedział sobie, że gdyby miał choć trochę rozsądku, też by wyszedł i wrócił do hotelu. Ale najwyraźniej jego umysł był na przepustce, więc wszedł do pokoju i zatrzymał się dopiero obok Jennifer, która stała przy łóżeczku i wpatrywała się w dziecko śpiące pod kocem w kwiatowy deseń. W oczach miała niepokój, chociaż usta układały się w tkliwy uśmiech.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Chance, przedstawiam ci Sarah.

W jej głosie słyszał miłość. To go wzruszyło. Przesunął wzrok na dziecko. Zobaczył brudną twarzyczkę, zabawne krótkie kucyki, rozchylone różowe usta. Nagle Sarah podniosła pulchną rączkę, potarła oczy i obróciła się na bok. Potem na oślep zaczęła szukać pluszowego misia z oderwanym uchem, leżącego poza zasięgiem jej rączek.

Chance przysunął zwierzaka bliżej i dziewczynka sięgnęła po niego, ale zamiast misia złapała rękę Chance'a. Jej małe paluszki zacisnęły się z całej siły na jego dłoni.

Z jego piersi wyrwało się długie, głębokie westchnienie.

I w tej właśnie chwili się zakochał.

---

## ROZDZIAŁ PIĄTY

---

Gdy ta świadomość wdarła się w jego umysł, Chance odskoczył jakby trafiła go kula. Nieobecny wzrokiem patrzył, jak mała znów szuka misia. Wreszcie go chwyciła, wtuliła nosek w zmechacone futerko pluszaka i westchnęła z zadowoleniem.

Chance wpakował ręce do kieszeni. Próbował nie myśleć o tym, że nadal czuje zadziwiająco silny uścisk dziecinnej rączki na swoich palcach.

- Co się panu stało? - szepnęła z niepokojem Jennifer.

- Nic - odparł, chwiejnie cofając się od łóżeczka o jeszcze jeden krok. - Wszystko w porządku.

Dobra robota, Barnett, powiedział sobie w duchu. Ileż to razy znajdował się w niebezpiecznym położeniu. Patrzył w wylot lufy. Wślizgiwał się i wyślizgiwał z pułapek, a włos mu nie spadł z głowy. A teraz wystarczył uścisk małej rączki chorego dziecka, a był gotowy szukać kryjówek. Nerwowo wyciągnął rękę z kieszeni i potarł twarz. Tego się nie spodziewał.

Ładna kobieta. Poczul przyływ pożądania. To nic nowego. Ale w jego zamiarach nie leżało doznawanie tkliwych uczuć i teraz, kiedy już tak się stało, nie wiedział, co z tym zrobić.

- Nie wygląda pan dobrze - zauważyła Jennifer i poprowadziła go do drzwi.

Nic dziwnego. Mężczyzna, ogłuszony nagłe uczuciami, których dotąd nie doznawał, może wyglądać tak, jakby właśnie dostał cios w głowę. To dziecko jest takie malutkie, tak bezbronne. Że też takie maleństwo musi być chore! Zmusił się do porzucenia tych rozważań i skoncentrował uwagę na idącej przed nim kobiecie.

Szedł tylko krok za nią i mimo że plątały mu się po głowie niewesołe

myśli, nie mógł nie zauważyć kołysania bioder i zgrabnych łydek. Co też wysokie obcasy robią z damskimi nogami!

Gdy weszli do bawialni, Jennifer zrzuciła pantofle na obcasach i wydała się Chance'owi bardziej bezbronna. Jego wewnętrzny radar natychmiast zaczął wysyłać sygnały ostrzegawcze. Podziw dla samotnej matki był zrozumiały. Ale przecież nie potrzebuje teraz dodatkowych komplikacji w swoim życiu. Czy nie wystarczy mu nowo poznana rodzina?

- Halo - zawołała łagodnie Jennifer. - Pytałam, czy pan się dobrze czuje?

- Tak, dobrze - odparł stanowczo, zawstydzony swoją wewnętrzną konwersacją. Co się stało z jego słynną umiejętnością uwodzenia kobiet?

- Po prostu jestem zmęczony. Jeszcze niezupełnie doszedłem do siebie.

Jennifer lekko zbladła, ale zaraz się opanowała.

- To była niebezpieczna rana?

- Nie. Tak jak pani mówiła wcześniej, po prostu draśnięcie.

Jennifer założyła ręce w pasie, na chwilę pochyliła głowę, ale zaraz spojrzała Chance'owi w oczy.

- Przepraszam za tamto.

- Nie ma za co.

- Nie powinnam była tego mówić.

- Przeżyję to - zapewnił ją i bezwiednie podszedł o krok bliżej.

Wszystko w niej przyciągało go z nieposkromioną siłą. Dotykało czegoś głęboko w nim i chociaż wiedział, że powinien to zwalczyć, skapitulował wobec tych doznań.

Czuł jej zapach. W jej oczach był smutek i z jakiejś nieznanego sobie przyczyny Chance chciał zrobić coś - cokolwiek - by jej pomóc. Ale gdy podszedł jeszcze krok bliżej, Jennifer ostrzegawczo pokręciła głową.

- Chance - powiedziała, i zaraz się poprawiła - kapitanie Barnett... Connelly... Do diabła!

Po jego twarzy przemknął uśmiech i zaraz zniknął, ale Jennifer w tej chwili zrozumiała, że ma kłopoty. To mężczyzna w każdym calu fantastyczny.

- Wystarczy, Chance - powiedział, a rozbawienie w jego głosie uzmysłowiło jej, że dokładnie wiedział, że zamierzała stworzyć między

nimi dystans.

Spojrzenie bursztynowych oczu Chance'a spoczęło na jej twarzy. Czowała się zauroczona. Nagle zabrakło jej tchu, chciała uciec, ale nie miała dokąd. Po raz pierwszy pożałowała, że bawialnią jest taka mała.

- Proszę posłuchać - powiedziała. - Jestem wdzięczna, że odwiózł mnie pan do domu, ale...

- Ale teraz raczej powinienem już iść.

- Właśnie. I proszę się na mnie nie gniewać, ale po prostu... -

Dlaczego nie mogła skończyć zdania? Ani myśleć rozsądnie? Bo Chance stał za blisko. Za blisko niej był szeroki tors, biały mundur kontrastujący z opalenizną, rząd baretek i odznak.

Za co te medale? Za męstwo? Za rany? Za ciągłe ryzyko śmierci? Już wiedziała, czym to się kończy. Jej mąż był taki sam i zginął.

Nagle oddech jej się wyrównał, puls spowolnił. Znów była opanowana. Właśnie to powinna robić. Nieustannie sobie przypominać, że Chance Barnett Connelly jest mężczyzną, dla którego życie nie ma smaku, jeżeli nie kładzie go na szali.

A ona miała już dość ryzyka w swoim życiu. Więcej nie potrzebuje.

Uniosła obie ręce, by go powstrzymać, bo znów był zbyt blisko.

Zadziało.

- O co chodzi? - spytał, a stał już tak blisko, że czuła na twarzy jego oddech. Na ciele wystąpiła jej gęsia skórka, ale zignorowała ją. Musiała się opanować, więc to uczyniła.

- To nie jest dobry pomysł - powiedziała - i pan chyba sam o tym wie.

- Może i tak - odparł, a jego wzrok przesunął się po jej twarzy.

Zadrżała, ale mówiła dalej:

- Nie jestem zainteresowana dołączeniem do stadka pańskich „kobiet w każdym porcie”.

Chyba się obraził.

- Hej, to powiedziała niania małej, nie ja.

- Tak, ale miała rację - mruknęła Jennifer. Miała całkowitą pewność, że tak jest. Żaden tak przystojny mężczyzna jak Chance nie uskarża się na brak damskiego zainteresowania.

Odstąpił krok do tyłu i Jennifer zaczęła oddychać z mniejszym

trudem.

- Nie miała racji - oświadczył stanowczo. Spojrzała mu w oczy i zauważyła w nich nieudawany gniew. No i dobrze. Lepszy gniew niż pożądanie, które widziała jeszcze przed chwilą. O wiele łatwiej sobie z tym poradzić.

- Ale właściwie mnie to i tak nie powinno obchodzić, prawda?

- Owszem, powinno - odparł, patrząc jej w oczy. - Jennifer, między nami coś zaszło. Nazwij to chemią, jeśli chcesz, albo po prostu pożądaniem.

- To nieprawda. Między nami nic nie zaszło.

- Możesz zaprzeczać, ale niczego już nie zmienisz - zauważył.

- Mimo wszystko warto spróbować - parsknęła nerwowo i zaraz jeszcze bardziej się zdenerwowała, bo przecież, mówiąc to, właśnie przyznała, że jednak jest czemu zaprzeczać.

Powoli skinął głową i odstąpił do tyłu.

- Teraz już sobie pójdę. Dzięki Bogu!, pomyślała Jennifer.

- Ale wróć.

Gdy szedł do drzwi, Jennifer zastanawiała się, czy te słowa miały być ostrzeżeniem, czy obietnicą.

Okazało się, że i jednym, i drugim. Jennifer usłyszała tupot małych nóżek na linoleum, a zaraz potem Sarah wpadła do kuchni.

- Jest Chanz!

Jennifer poczuła jednocześnie nadzieję, strach i podniecenie. W gardle narosła jej twarda kula, z trudem ją przełknęła. Stojąc przy zlewie, z rękami zanurzonymi po nadgarstki w pianie, obejrzała się z uśmiechem i krzyknęła przez ramię:

- Powiedz mu, że mama zaraz przyjdzie, dobrze?

- Brze. - Sarah popędziła z powrotem.

- Sarah, nie wolno ci biegać! - zawołała za nią Jennifer. Ku jej zadowoleniu mała zwolniła kroku i z wyraźną niechęcią poczłapała, szurając nogami.

Chanz. Sarah dostała absolutnego bzika na punkcie Chance'a Barnetta, ale wyglądało na to, że ta fascynacja jest odwzajemniona. W ciągu ostatnich trzech dni spędził tu tyle czasu, że Jennifer, szykując posiłki, odruchowo zaczęła przygotowywać nakrycie również dla niego.



W jakiś sposób - bez specjalnego wysiłku - zdołał wtargnąć w jej życie, zauroczył jej córkę, a jej hormony wprawił w istne szaleństwo.

Otrzeptała ręce z piany, wytarła je i sięgnęła do góry, by przygładzić włosy. Co za głupota. Przecież nie zależy jej na tym, by wyglądać dobrze dla Chance'a Barnetta, więc dlaczego się martwi tym, że jest potargana?

Zwykła kobieca reakcja. To wszystko. I nic nie znaczy. Absolutnie nic.

- Cześć, koteczku!

Głos Chance'a dotarł do kuchni i wzbudził w Jennifer dreszcze. Przez szum w uszach ledwo słyszała radosny śmiech Sarah. Oddychała coraz szybciej.

Na miłość boską, zaczyna się zachowywać jak nastolatka czekająca, aż przyjdzie po nią chłopiec, z którym się umówiła na pierwszą randkę. A to nie randka, ale poważniejsze sprawy. Dlatego nie potrafi opanować tych idiotycznych przyprawów podniecenia, których doznaje, gdy tylko Chance jest w pobliżu.

- Dość ociągania się. Trzeba iść, bo jeszcze pomyśli, że się przed nim chowam - mruknęła, kręcąc z dezaprobatą głową.

Gdy weszła do bawialni, Chance siedział na kanapie, a Sarah na jego kolanach. Oglądali książeczkę z obrazkami. Chance uśmiechnął się, jakby wyczuł obecność Jennifer.

- Czytamy sobie - powiedział.

- Widzę - przyznała i pomyślała, że wyglądają jak ojciec z córką. Bliscy i zżyci. Nie chciała siadać obok nich, ale nogi same już ją niosły.

- Mamo, siadaj! - rozkazała Sarah, i znów zwróciła uwagę na książkę. - Piesek.

- Tak - zgodził się Chance.

- Sarah chce pieska! - wykrzyknęła dziewczynka, biorąc jego twarz w ręce i kierując ku sobie.

- Już o tym rozmawialiśmy, dziecinko - powiedziała Jennifer, przenosząc córkę z kolan Chance'a na swoje. - Dostaniesz pieska, gdy poczujesz się lepiej.

- Czuję lepiej - nalegała Sarah.

- Jeszcze nie - zaprzeczyła Jennifer, przełykając wielką kulę w

gardle. - Ale niedługo.

- Teraz. Teraz lepiej.

Jennifer tak bardzo chciała w to wierzyć. Niestety, widziała sine podkowy pod wielkimi, ciemnymi oczami córeczki i bladą jak porcelana twarzyczkę. Może i jej małe ciało wydawało się silne, ale biło w nim uszkodzone serduszko i dopóki się tego nie naprawi, Jennifer nie pozwoli na żadne ryzyko.

- Chcę pieska - błagała Sarah, przekrzywiając główkę i patrząc tak, jak tylko dzieci potrafią, gdy czegoś bardzo chcą.

- Przykro mi, skarbie, ale nie.

Usta małej zadrżały, skrzyżowała ręce na piersi i z całym oburzeniem, na jakie może się zdobyć półtoraroczne dziecko, wybiegła z pokoju.

- Nie może dostać psa? - spytał Chance.

- Nie, dopóki nie wyzdrowieje na tyle, by móc się z nim bawić - odparła, rzucając wyjaśniające spojrzenie.

- Mógłbym pomóc się nim zajmować.

- Wiem, że masz dobre chęci - powiedziała Jennifer, zanim zdążył stanąć po stronie Sarah, a przeciw niej. - Ale to moja córka i muszę robić to, co dla niej najlepsze.

- Przecież temu nie przeczę - odparł, unosząc ręce w udawanym geście poddania.

- Jednak właśnie to chcesz robić.

Wydawało się, że zaraz zaczną się kłócić, ale Chance szybko skapitulował.

- Tak, rzeczywiście chciałem - powiedział z szerokim uśmiechem.

- Wcale nie jest mi łatwo odmawiać jej prośbom - westchnęła Jennifer.

- Zauważyłem - przyznał Chance. - Mnie zawojowała od pierwszego dnia. Wystarczyło, że spojrzę na mnie tymi swoimi wielkimi ciemnymi oczami i zostałem jej niewolnikiem.

Tak, Jennifer to zauważyła. Między nim a Sarah nawiązał się jakiś wyjątkowo serdeczny kontakt. Jennifer była jednocześnie zmartwiona i zadowolona. Nie mogła otoczyć Sarah liczną rodziną, a już najbardziej brakowało dziecku bliskich męskich krewnych. Dobrze było mieć tu Chance'a przez jakiś czas. Z drugiej strony, może popełniała błąd,

pozwalając na to, by zostali takimi serdecznymi przyjaciółmi? W końcu Chance wyjedzie i Sarah będzie rozpaczliwie za nim tęsknić.

I nie tylko Sarah, pomyślała z wewnętrznym dreszczem.

Jej myśli przerwał jakiś łomot w drugim pokoju.

- Sarah?!

Jennifer zerwała się z kanapy i popędziła co córki. Serce jej waliło jak oszalałe.

- Sarah, kochanie?! - wołała. - Nic ci się nie stało? Gdy wpadła do pokoju, Sarah stała pośrodku, patrząc na zrujnowany domek dla lalek, który leżał u jej stóp. Pewnie, biegnąc, potrąciła stolik, na którym był ustawiony. Ale na szczęście jej samej nic się nie stało.

W oczach dziewczynki wezbrały wielkie łzy, gdy spojrzała na matkę. Jennifer opadła na kolana, przyciągnęła dziecko i mocno ścisnęła.

- Dziecino, nic ci nie jest? Nie skaleczyłaś się? Kochanie, musisz być ostrożniejsza. Nie powinnaś biegać. Pamiętaj, musisz spokojnie chodzić. Już wszystko w porządku. Nie płacz. No, już nie płacz... - pocieszała małą, głaszcząc ją i wydając łagodne, uspokajające pomruki.

Chance stał w drzwiach. Poranne światło przenikało przez okna i złotymi plamami padało na Jennifer i jej dziecko, gdy obie tak klęczały mocno przytulone, jak dwie osoby, które przeżyły katastrofę.

Poczuł się wyłączony z tej jedności, z tego czułego momentu i ze zdumieniem zdał sobie sprawę, jaką mu to sprawia przykrość.

Wciągnął głęboko powietrze, oparł się ramieniem o framugę i patrzył na te kobiety, które nieoczekiwanie stały się dla niego tak ważne. Bicie jego serca powoli się uspokajało. Zdumiewające, jak odgłos upadku może człowieka wystraszyć, gdy wiadomo, że ma to coś wspólnego z dzieckiem. Do diabła, nawet na polu walki bywał mniej zdenerwowany. Jednak gdy teraz mijały sekundy, a potem minuty, a Jennifer nie wypuściła dziecka z ramion, zaczął się zastanawiać nad tym, co widzi.

Zastanawiał się, czy Jennifer zawsze była tak nadopiekuńcza wobec Sarah, czy też jest to efekt strachu, jaki wywołuje choroba małej.

---

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

---

- Jak myślisz, co on może knuć?

Jennifer patrzyła przez całą długość gabinetu Emmy na utrzymany w delikatnej kolorystyce, nastrojowy obraz Moneta wiszący na przeciwległej ścianie. Ale sącząca się zieleń i błękit ogrodu Moneta nie koily jej zdenerwowania.

- Dlaczego od razu musi coś knuć? - odpowiedziała pytaniem Emma.

Jennifer ponuro się uśmiechnęła.

- Byłabyś dobrym psychiatrą. Zmuszałabyś pacjenta, by sam sobie dopowiadał na swoje pytania.

- Och, skarbie. - Emma pochyliła się i wzięła Jennifer za rękę. - Ty nie jesteś pacjentką i z całą pewnością nie potrzebujesz spowiedzi na leżance.

- Nie byłabym tego taka pewna - mruknęła Jennifer. Ucisnęła rękę Emmy, a potem odchyliła się na oparcie fotela. - Ostatnio mam wrażenie, że zaczynam tracić zmysły.

- I nie ma się czemu dziwić. Jesteś aż chora z zamartwiania się o Sarah.

To była prawda. Jej sny przesyczone były panicznymi wyobrażeniami o mglistej, niebezpiecznej przyszłości. Budziła się z lękiem. Dni też nie były lepsze. Ale, by być uczciwą wobec siebie, musiała przyznać, że również Chance zajmuje sporo jej myśli.

Do diabła z tym! A raczej, do diabła z nim!

Nie prosiła o tę znajomość. Nie pragnęła żadnych dodatkowych komplikacji. Teraz tego naprawdę nie potrzebowała. Odciągał jej uwagę od najważniejszej sprawy. Och, w cudowny sposób, ale jednak odciągał. A ona nie mogła sobie teraz pozwolić na rozproszenie uwagi. Bo Chance

rozpraszał jej uwagę. Po prostu był to zły czas na wdawanie się w romans. Ale doskonale wiedziała, że nie wierzy w to, co mówi.

Nie było żadnego innego mężczyzny, poza Mikiem, który potrafiłby oderwać jej myśli od zmartwień. Był tylko Chance. On. Jego uśmiech. Te oczy. Sposób, w jaki jego głos rozbrzmiewał jej w uszach i kazał myśleć o gorącym lecie. Serdeczność, jaką zawsze okazywał Sarah.

- Na miłość Boską - mruknęła, kryjąc twarz w rękach.

Emma zachichotała i usiadła obok niej na małej sofce krytej adamaszkiem w kwiaty.

- Wzięło cię, co?

- Czy muszę na to odpowiadać? - Jennifer rozchyliła palce na tyle, by móc spojrzeć na swoją chlebodawczynię.

- Ach, moja droga - westchnęła Emma. - Już odpowiedziałas!

Emma Connelly była nie tylko szefową Jennifer, lecz także jej oddaną przyjaciółką. I dlatego nie krępowała się udzielać rad i wyrażać swojego zdania, czy proszono ją o to, czy nie. Zresztą nie było to żadne wścibstwo, lecz prawdziwa troska. Od pierwszej chwili, gdy Jennifer została tu zatrudniona, Emma traktowała ją niemal jak córkę. Jennifer każdego dnia dziękowała losowi za to, że ma dobrą pracę i korzystne ubezpieczenie. Mimo to nie zamierzała obnażać przed Emmą duszy. Nie chciała, by Emma orientowała się, jak mieszane uczucia ma wobec jej pasierba.

Nie doceniła Emmy Connelly.

- Dziecko, nie uciekaj przed tym - odezwała się Emma z uśmiechem.

- To twoja wielka szansa. Ten mężczyzna odziedziczył po swoim ojcu urok, w mundurze wygląda wspaniale, no i nie zaprzeczysz, że po prostu cię oczarował.

- Może i tak - przyznała Jennifer. Obraz Chance'a wypełnił jej umysł i natychmiast serce zaczęło jej mocniej bić. Musiała zebrać się w sobie, by to zwalczyć. - Ale teraz nie mogę mu poświęcić uwagi. Sarah jest taka chora i....

- Kotku - przerwała jej Emma. - Nie będę ci doradzała, byś się nie martwiła, bo i tak będziesz. Każda matka by się zamartwiała. Ale znaleźliśmy najlepszego chirurga. I zajmiemy się rachunkami za szpital.

Jennifer otworzyła usta, ale Emma nie dała jej dojść do słowa.

- I nie sprzeczasz się ze mną. Nie chcę, byś się jeszcze dodatkowo niepokoiła sprawami finansowymi albo tymi wszystkimi papierkami, które zawsze trzeba wypełnić. - Usiadła prosto, wzięła rękę Jennifer i delikatnie ją poklepała. - A jeśli chodzi o Chance'a, nie mówię, że masz nie być ostrożna. Ale nie ma nic złego w cieszeniu się towarzystwem przystojnego mężczyzny. I nie ma też nic złego w tym, że będziesz miała również coś dla siebie w tym trudnym okresie.

- Emmo... - Jennifer chciała przyznać, że rzeczywiście, nie ma w tym nic złego. Jednak Emma nie rozumiała, że gdyby nawet Jennifer potrzebowała właśnie teraz jakiegoś mężczyzny, nie byłby to Chance, człowiek, który najbardziej w życiu ceni walkę i niebezpieczeństwo. Ona potrzebuje domatora. - Emmo, nie buduj zamków na lodzie, dobrze? On tu przyjechał tylko na krótko i...

- Skarbie, nie byłam jeszcze u księdza w sprawie waszego ślubu - powiedziała łagodnie Emma. - Ja tylko mówię, że powinnaś postarać się trochę zrelaksować. I jeżeli Chance chce zaoferować ci silne ramię, byś się na nim wsparła w tych ciężkich chwilach, dlaczego nie chcesz z tego skorzystać?

Jennifer pokręciła głową i uśmiechnęła się.

- Wiesz, jak wyzwolone kobiety by się wściekły, gdyby cię teraz słyszały?

- Bzdura! - parsknęła Emma. Machnęła ręką, jakby odsyłała w niebyt zastępy zirytowanych feministek. - Istnieje pewna różnica między kobietą silną a kobietą twardą. - Wstała, wygładziła spódniczkę swojego kostiumu od Chanel w kolorze wiosennej łąki i kontynuowała: - Kotku, ani mężczyzn, ani kobiet nie stworzono do samotnego życia. Nawzajem wyrównujemy swoje słabości i silne strony. Na tym to właśnie polega.

- Pewnie, w idealnym świecie - westchnęła Jennifer.

- Nie ma czegoś takiego jak idealny świat - powiedziała Emma - ale również nie musi to być aż tak skomplikowane, jak ci się wydaje.

- Może i masz rację - zgodziła się Jennifer, nie tyle z przekonania, ile po to, by już skończyć temat. Wiedziała, że Emma chce dobrze i że mimo swojego logicznego myślenia i żyłki do interesów, jest romantyczką. Bardzo pragnie wykrzesać z Jennifer i Chance'a dość iskieł, by zapłonął między nimi płomień.

Według Jennifer nie było to możliwe. Szczęśliwe zakończenia zdarzają się tylko w bajkach. Jednak była też absolutnie pewna, że Emmy nigdy o tym nie przekona.

- No, robi się późno - zauważyła Emma. - Wracaj do swojego dziecka.

Jennifer odruchowo spojrzała na zegarek.

- Jest dopiero trzecia. Pracuję do piątej.

- Pracujesz tak długo, jak ja cię potrzebuję - poprawiła ją łagodnie Emma. - A teraz mówię, że masz iść do domu.

Z lekkim poczuciem winy Jennifer pomyślała o stosie listów, które jeszcze powinna dać Emmie do podpisu i wysłać. Ale już w następnej minucie zdecydowała, że jeżeli jej szefowa nie przejmuje się tym, to ona tym bardziej nie musi. Poza tym miło będzie wrócić do domu wcześniej i pobawić się z Sarah. Oczywiście nie może ryzykować żadnej wyczerpującej zabawy. Ale będą mogły sobie usiąść na trawie i obserwować przepływające po niebie obłoki.

Już na samą myśl o tym uśmiechnęła się. Tak więc od razu wstała i podeszła do swojego biurka, żeby przypadkiem Emma nie zmieniła zdania.

- Dobrze. Jadę do domu.

- Świetnie. I nie wracaj, póki twoja córeczka nie będzie znów zdrowa i w domu.

- Przecież nie możesz mnie zwolnić na tak długo! - wykrzyknęła Jennifer. - Operacja będzie dopiero za kilka dni, a potem... - Wzdrygnęła się na myśl o tym, przez co jej dziecko będzie musiało przejść. - Tu jest za dużo do zrobienia. Sama korespondencja...

- Bzdury.

- Słucham?

- Do diabła z korespondencją - powiedziała Emma stanowczo, podchodząc do Jennifer. Ujęła jej twarz w ręce. - Sama potrafię się tym zająć przez jakiś czas. Ty pozostaniesz przy swoim dziecku tak długo, jak będzie trzeba, będziesz też dostawała normalną pensję. I nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów.

Jennifer zorientowała się, że Emma już podjęła decyzję i nic jej od tego nie odwiedzie. Powoli skinęła głową.

- Dobrze. Tylko nie chciałabym, aby się okazało, że doskonale sobie radzisz beze mnie.

- Na pewno nie, skarbie. Twoja praca będzie tu na ciebie czekała.

- Dziękuję, Emmo. Dziękuję za wszystko.

- Nie ma za co. A teraz już idź.

Jennifer posłuchała, ale zanim zdążyła dojść do drzwi, Emma ją jeszcze zatrzymała.

- Pozdrów ode mnie Chance'a.

- Skoro teraz tu mieszka, pewnie zobaczysz go wcześniej niż ja. -

Jennifer przynajmniej miała taką nadzieję.

- Czyżby?

Kręcąc głową, Jennifer wyszła. Dzięki urlopowi, który Emma właśnie jej dała, nie będzie musiała tu przychodzić, a to oznacza, że nie będzie ciągle wpadała na Chance'a. I tak będzie najlepiej.

Więc dlaczego wcale jej to nie cieszyło?

Nie spodziewał się aż tak dobrej zabawy.

Ktoś powinien był mu powiedzieć już dawno temu, jak to jest, gdy przebywa się z dziećmi.

Ale, przyznał w duchu, gdyby mu to powiedziano, pewnie by nie uwierzył. Zresztą może nie wszystkie dzieci są tak cudowne jak Sarah.

Spojrzał w wielkie ciemne oczy dziewczynki i poczuł, jak mięknie mu serce. Podobnie jak jej matka, miała zdolność poruszania w nim czegoś, o czym do tej pory nawet nie wiedział, że istnieje.

W ostatnim tygodniu spędził tyle czasu z Jennifer i Sarah, że już sobie nie wyobrażał, by mógł żyć inaczej. Jak do tej pory sobie radził bez tych gorących uścisków pulchnych rączek? Jak sobie radził, nie widząc uśmiechu Jennifer? Nie widząc, jak jej oczy lśnią od radości, a włosy błyszczą w słońcu? Nie potrafił tego zrozumieć.

- Chaanz - pisnęła Sarah, szarpiąc go za nogawkę spodni. - Huścić!

- Huścić? - roześmiał się Chance, widząc, jak usta Sarah układają się w podkówkę, gdy nie od razu spełniał jej życzenie. Podniósł małą, usadowił na foteliku huśtawki. Potem popychając ją leciutko, wsłuchiwał się w melodyjny dźwięk jej śmiechu.

Po prostu miała magię. I któregoś dnia będzie miała wszystkich okolicznych chłopców u swoich stóp. Ale gdy o tym pomyślał, zdał



sobie sprawę, że jego tu wtedy nie będzie. Nie będzie go, gdy po raz pierwszy zadrapie sobie kolano, gdy po raz pierwszy pojedzie na rowerze, nie będzie go przy niej, gdy po raz pierwszy się zakocha i pójdzie na pierwszą randkę. Nie będzie go przy niej, by przeganiać zadurzonych chłopaków. Nie będzie wiedział, czy jest smutna, czy szczęśliwa, samotna, czy radosna.

Ona go nawet nie będzie pamiętać!

Zaraz też mu przyszło do głowy, że wcale nie jest też pewny, czy Jennifer go zapamięta albo czy będzie chciała o nim pamiętać. Dziwne, przez tyle lat robił wszystko, co w jego mocy, by kobiety o nim zapomniały. Jego związki nigdy nie trwały dłużej niż tydzień albo najwyżej dwa. Nie pragnął, by kobieta czekała na niego w domu. Nie chciał troszczyć się o nikogo oprócz siebie.

No i doprowadził ten styl do perfekcji.

Nikogo nie obchodziło, czy żyje, czy umarł. Oprócz brata, oczywiście, ale to zupełnie co innego. Nigdy się tym nie przejmował i nie było mu brak tego zainteresowania. Aż do teraz. Na tym właśnie mu zależało.

Od chwili, gdy spojrział w te oczy koloru morskiej zieleni. Od chwili, gdy stanął obok tej niewysokiej kobiety o doskonałej figurze, której sam zapach wystarczył, by otworzyć w nim zamknięte dotąd drzwi. Ta kobieta wywarła na nim wrażenie, jakiego nikt do tej pory nie wywarł. Sposób, w jaki się poruszała, mówiła, kochała swoją córkę - wszystko, co w niej widział, budziło w nim pragnienia, jakich do tej pory nigdy nie doświadczył. Tyle że ona, niestety, nie odwzajemniała zainteresowania. Cholernie dobrze o tym wiedział. Bo Jennifer i Sarah tworzyły jedność. Zbudowały wokół siebie solidny mur, przez który nikt, włączając również jego, nie mógłby się przedostać.

Poczuł zimno i pustkę. By o tym nie myśleć, zatrzymał huśtawkę, zdjął Sarah i przytulił ją do piersi. Przez chwilę napawał się bliskością jej drobnego ciała i dotykiem miękkiego policzka na własnym. Jak to się stało, że pokochał ją tak mocno i tak szybko?

I jak będzie teraz mógł odejść od niej i od jej matki?

Słońce świeciło z jasnego kwietniowego nieba, na ziemi kładły się cienie rzucane przez drzewa. Obrazek był idealny, brakowało w nim

tylko Jennifer. Odsunął troszeczkę Sarah i spojrzał jej w oczy.

- Więc myślisz, że mama będzie wściekła za huśtawkę?
- Mama? - Uśmiech Sarah stał się jeszcze radośniejszy.
- Tak. Ja czuję to samo, gdy o niej myślę - przyznał. Potem,

obchodząc przygotowany przez siebie placyk zabaw, posadził Sarah na górze zjeżdżalni i mocno objął ją w pasie. - Gotowa?

Pokiwała główką tak energicznie, że kucyki zatańczyły jej przy uszach.

- Nie! Nie rób tego!

Wystraszony tym niespodziewanym krzykiem, Chance jeszcze mocniej chwycił Sarah i spojrzał w kierunku, skąd dochodził głos. Jennifer stała na progu i nawet z tej odległości zobaczył gniew w jej oczach.

Nie takiej reakcji oczekiwał.

- Co tu się dzieje? - spytała ostro, idąc do nich. Podeszła do zjeżdżalni, wyrwała mu Sarah z rąk i dokładnie ją obejrzała, by się upewnić, że jej dziecku nic się nie stało.

Chance pohamował irytację. Czy ona naprawdę myśli, że nie można mu zaufać i powierzyć pod opiekę dziecka?

Mała, czując wzburzenie matki, natychmiast uderzyła w płacz. Jennifer zaczęła ją kołysać i poklepywać po plecach, rzucając jednocześnie pełne złości spojrzenia Chance'owi.

- Wcześniej wróciłaś - zauważył w nadziei, że złagodzi wzburzenie, którego nie rozumiał.

- Wygląda na to, że w samą porę.

- Co to ma znaczyć?

- Gdzie jest pani Sorenson? - spytała Jennifer, rozglądając się wokoło, jakby się spodziewała, że niania wyskoczy zza krzaków.

Chance wzruszył ramionami.

- Powiedziałem jej, że zostanę z Sarah, więc może iść do domu.
- Ty jej to powiedziałeś? - parsknęła, kładąc nacisk na słowo „ty”.
- No, tak. - Chance wpakował ręce do kieszeni. Zaczynał być zły.

Nie tak sobie wyobrażał jej powrót do domu. Do diabła, napracował się jak dziki osioł, rozszyfrowując instrukcję, która brzmiała dla niego jak tureckie kazanie, i składając wszystkie urządzenia. Zajęło mu to dobrych

kilka godzin. Spodziewał się okrzyków zachwyty i docenienia jego pracy, a może nawet entuzjastycznego pocałunku. Ale, dzięki Bogu, nie był człowiekiem, który łatwo się zniechęca. - Skoro już i tak zamierzałem tu zostać, nie miało sensu, byśmy oboje pilnowali dziecka, więc...

- Nie do wiary - mruknęła, patrząc na niego tak, jakby miał troje oczu.

Słyszając podniesiony głos matki, Sarah wpadła w histerię. Jej głos przeszedł w pisk tak wysoki, że niemal niesłyszalny dla ludzkiego ucha.

Chance próbował zrozumieć, co się właściwie stało. Przecież jeszcze minutę temu wszystko układało się bardzo dobrze. Ale Pearl Harbor rankiem 6 grudnia 1941 roku też było spokojnym miejscem.

Jennifer patrzyła na niego z taką wściekłością! Chance uznał, że jedynym sposobem na uniknięcie śmierci z jej rąk będzie uważne wysłuchanie tego, co ma do powiedzenia.

- To ja zatrudniam panią Sorenson. Ty nie masz prawa jej mówić, kiedy ma tu zostać, a kiedy iść do domu.

- Ale ja tu byłem i... - Dlaczego właściwie tak się broni? Jennifer zachowywała się krańcowo irracjonalnie. Czy ona sama tego nie widzi? Do diabła, spędził cały dzień, instalując dla Sarah urządzenia do zabaw, z huśtawką, zjeżdżalnią i piaskownicą. A teraz jego duma z całej tej roboty rozwiała się jak dym.

- Dlaczego? - warknęła Jennifer.

- Dlaczego co?

- Dlaczego to zrobiłeś?! - krzyknęła. - A przede wszystkim, dlaczego tu w ogóle jesteś?!

Przesunął ręką po włosach, żałując, że jest ostrzyżony tak krótko, po wojskowemu. Gdyby miał dłuższe włosy, mógłby przynajmniej je zmierzwić.

- Po pierwsze, musiałem złożyć te przyrzędy - zaczął, ale zanim zdążył wdać się w dłuższy wywód, gwałtownie wpadła mu w słowo.

- Skoro już o tym mówimy; kto ci to kazał kupować? Nie mogę sobie pozwolić na takie wydatki.

No, tego już za wiele. Nie prosił o zwrot pieniędzy i ona doskonale o tym wiedziała.

- To prezent. Ode mnie. Dla Sarah - wyrzucił z siebie szybko.

Oczy Jennifer rozgorzały. Chance wiedział, że trzeba sięgnąć dna, zanim sytuacja zacznie się poprawiać. Do licha, co się dzieje z tą kobietą? Czy mężczyzna nie może okazać się miły bez tego, by rzucono go na ruszt i przypieczono?

- Ach! - zaśmiała się sarkastycznie. - Czyżby w sklepie zabrakło pluszowych zwierzątek, więc musiałeś kupić huśtawkę?

- Huśtać! - krzyknęła Sarah, wciskając buzię w szyję matki.

- Ha! - wykrzyknął Chance zwycięsko, pokazując palcem płaczące dziecko. - Jej się to podoba.

- Ona lubi także lody na kolację - warknęła Jennifer. - Ale to jeszcze nie znaczy, że wyjdą jej na zdrowie.

Sarah wydała z siebie westchnienie, które rozkrwawiło Chance'owi serce.

- Chcę huśtać.

- Nie teraz, kochanie - szepnęła Jennifer. - Możesz sobie zrobić krzywdę. Poza tym już czas na twoją drzemkę.

- Nic jej się nie stanie. - Chance nie potrafił ukryć irytacji.

- Możesz to zagwarantować? - Jennifer popatrzyła na niego tak, że gdyby spojrzenie mogło zabijać, już by nie żył.

- Nie - odparł, krzyżując ręce na piersi w obronnym geście. W tej chwili nie pogardziłby nawet kuloodporną kamizelką. Jednak mimo wszystko postanowił przemówić Jennifer do rozsądku. Do diabła, ktoś musi to zrobić. - Jen, dzieci ciągle sobie coś robią. To nieodłączna część dzieciństwa każdego człowieka.

Odchyliła głowę do tyłu i spiorunowała go wzrokiem. Na policzkach miała czerwone plamy, a ze złości oddychała tak szybko, że zaraz mogło dojść do zapaści.

- Sarah nie jest zwyczajnym dzieckiem. Jest chora na serce. Nie może biegać ani się huśtać, ani bawić się na zjeżdżalni, ani robić nic, co ty dla niej wymyśliłeś.

- Nie pozwoliłbym jej się zmęczyć - powiedział obrażony. Jak mogła sądzić, że nie dopilnuje dziecka?

- Jesteś lekarzem? Skąd możesz wiedzieć, ile wysiłku zniesie?

- Nie, ale...

- To moja córka, Chance. I ja decyduję, co dla niej będzie najlepsze.  
- To znaczy? - spytał. - Według ciebie powinna cały czas spędzać w domu?

- Jeżeli dzięki temu zachowa zdrowie, to tak! - warknęła Jennifer.  
- Co to za życie? - mruknął pamiętając, jak zaledwie kilka minut temu Sarah śmiała się i bawiła. Dlaczego to się musiało tak skończyć? I czemu walczy z Jennifer, podczas gdy najbardziej chciałby wziąć ją w ramiona i całować powoli i namiętnie, bez końca?

- Bezpieczne - wyjaśniła.  
- Jennifer - powiedział spokojnie. Podszedł bliżej i położył jej rękę na ramieniu. - Musisz jej pozwolić być dzieckiem.  
Twarz wykrzywiła jej się w złości, ale zaraz potem w oczach ukazały się łzy. Zamrugnęła gwałtownie powiekami, by je powstrzymać.

- Chciałabym - szepnęła. - Ale nie mogę. Muszę dbać, by była bezpieczna. - Przytuliła Sarah mocniej.  
- Ona jest chora, Chance. Nie może robić tego, co inne dzieci. A moim obowiązkiem jest tego dopilnować. Jestem za nią odpowiedzialna. Jest wszystkim, co mam. I nie wiem, co bym zrobiła, gdybym ją straciła...

Niewidzialna pięść ścisnęła Chance'a za serce i nie puszczała. Przyciągnął do siebie Jennifer i dziecko i otoczył ramionami. Tuląc te dwie istoty, które skradły mu serce, w duszy przysiągł sobie, że zrobi wszystko co w jego mocy, by chronić je obie.

- Nie stracisz jej - szepnął, opierając brodę na czubku głowy Jennifer.

Przywarła mocniej do niego, obejmując go w pasie wolną ręką.

- Obiecujesz?  
- Tak - potwierdził i objął ją jeszcze mocniej, jakby już sama siła jego ramion mogła utrzymać ich troje z dala od wszelkiego niebezpieczeństwa, jakim mógł im zagrozić świat.

---

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

---

Kilka następnych dni minęło błyskawicznie, choć przeżyli je targani lękiem i niepokojem. Jennifer próbowała ukryć swoje troski przed Sarah, ona jednak, wyczuwając napięcie matki, była płaczliwa i kapryśna. Gdyby nie Chance, doprowadziłyby się nawzajem do obłędu.

A Chance był z nimi właściwie przez cały czas. Przyjeżdżał zaraz po śniadaniu i wychodził po kolacji. Gdy rozeszła się wiadomość o chorobie Sarah, mnóstwo znajomych dzwoniło do Jennifer, obiecując pomoc, na wypadek gdyby jej potrzebowała. I niewątpliwie mówili szczerze. Ale Chance był inny. Nie czekał ani nie pytał, lecz po prostu był i robił, co mógł, by ułatwić jej życie, nawet jeżeli chwilami ograniczało się to tylko do wysłuchiwania Jennifer albo czytania bajek Sarah.

Stał się niemal członkiem rodziny, a Jennifer nawet nie zauważyła, jak do tego doszło. Rozsądna część jej umysłu głośno ostrzegała i radziła, by zachowała ostrożność. Utrzymała między nimi bezpieczny dystans. Jennifer dobrze wiedziała, że postąpiłaby mądrze, stosując się do tej mądrej rady.

Ale, z drugiej strony... popatrzyła przez pokój na mężczyznę siedzącego na jej kanapie, z jej senną córką w objęciach, i zrobiło jej się ciepło na sercu. Nie było łatwo zachować obojętność wobec mężczyzny, który nie tylko wysyłał sygnały powodujące, że krew szybciej krążyła w żyłach, lecz także odnosił się z taką czułością do jej dziecka.

Trzeba z tym skończyć, powiedziała sobie stanowczo, gdy Chance wstał i uśmiechnął się do niej.

- Chyba dojrzała już do łóżka - szepnęła, podchodząc do niej.

Nie tylko Sarah, pomyślała Jennifer, wdzięczna losowi, że Chance nie potrafi czytać w jej myślach.

- Zaniosę ją - powiedziała, biorąc dziecko z ramion Chance'a. Skóra musnęła skórę, Jennifer poczuła, jak oblewają ją fala gorąca, zabrakło jej tchu. Wciągnęła haust powietrza. Zachowujesz się jak ostatnia idiotka, napomniała się w duchu. Doszukujesz się w waszej znajomości czegoś, co w rzeczywistości nie istnieje.

- Kiedyś będzie łamała chłopcom serca - szepnął jej Chance do ucha. Wolałaby, żeby tego nie robił. Gdy jego głos przechodził w ledwie słyszalny szept, żadne słowo nawet w przybliżeniu nie określało tego mężczyzny. - Jak jej matka - dodał, i Jennifer znów ogarnęło to dziwne uczucie, że w jej żyłach płynie ogień. Zupełnie jakby cała krew, aż do ostatniej kropli, gwałtownie spływała w sam środek ciała, w najwrażliwsze miejsce, które zaczynało pulsować w rytm oszalałego bicia serca.

Przełknęła z trudem ślinę i jeszcze raz nakazała sobie, by się natychmiast opanować.

- Do tego jeszcze daleko - zauważyła. - Teraz myślę przede wszystkim o jutrzejszej operacji i przeprowadzeniu Sarah bezpiecznie przez okres rekonwalescencji.

- Wyzdrowieje - zapewnił ją Chance i założył jej pasmo włosów za ucho. Jego palce musnęły skórę Jennifer, potem przesunęły się na kark, aż w końcu się cofnęły, a ona leciutko zadrżała. Niech to! Nie mogła się powstrzymać.

Kobieta musiałaby być martwa, by nie reagować na dotknięcie tego mężczyzny.

- Zaraz wracam - mruknęła i uciekła z pokoju.

Gdy były już w sypialni, Sarah zachłysnęła się oddechem, a serce Jennifer niemal się zatrzymało. Jej córeczka jest taka maleńka, taka bezbronna. I tak bardzo liczy na swoją matkę, że zapewni jej bezpieczeństwo i szczęśliwe życie. Jennifer robiła wszystko, co mogła, ale nie wiedziała, czy to wystarczy.

Położyła Sarah do łóżeczka i okryła ją kocem. Potem, głaszcząc małą po delikatnych, jedwabistych włoskach, zanuciła kołysankę i zatopiła się w zachwycie nad swoim śpiącym dzieckiem.

Pewnie dlatego nie usłyszała, jak Chance wchodzi do pokoju. Zauważyła jego obecność dopiero, gdy już stał obok niej przy łóżeczku.

- Chodzisz za cicho - szepnęła.
- Rząd mi płaci za to, bym się wszędzie wślizgiwał niepostrzeżenie - odparł równie cicho.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Uśmiechał się tym swoim cudownym uśmiechem. Coś w niej niebezpiecznie zadrżało, a w głowie aż zawirowało od niespokojnych myśli.

Bardzo dobrze wiedziała, że najprostsza droga do serca samotnej matki wiedzie przez jej dziecko. Iluż to mężczyzn umizgało się do dziecka, by uwieść matkę! Nawet z nią niejednego tego próbował. Ale nie tak łatwo było ją ogłupić albo oczarować. Jednak Chance nie grał w tę grę.

Naprawdę troszczył się o Sarah. Widziała to w każdym jego geście. W każdym uśmiechu. Zresztą jej córka też oszalała na jego punkcie. A to czyniło sytuację jeszcze trudniejszą, bo Sarah zaakceptowała go jako członka rodziny. I będzie tęsknić, gdy Chance wyjedzie. Serce Jennifer znów zaczęło szaleć. Czy ten głupi organ nie rozumie, że przywiązywanie się do Chance'a to prośba o kłopoty?

- O czym myślisz? - spytał.

Zamrugła powiekami, wrywając się z plątaniny myśli, a potem wzięła głęboki oddech w nadziei, że dzięki temu jej głos zabrzmie spokojnie.

- Że powinniśmy stąd wyjść, zanim ją obudzimy. - Spojrzała jeszcze raz na Sarah i poszła do bawialni. Tu przynajmniej było jasno, radio nadawało muzykę z lat sześćdziesiątych. Nie trzeba było szeptać ani stać w ciemności blisko siebie. Szkoda tylko, że jej ciało miało na ten temat inne zdanie.

Chance podszedł do niej tak blisko, że prawie się dotykali. Tak bardzo pragnęła, żeby przyciągnął ją do siebie, otoczył ramionami. Na wszelki wypadek, żeby mieć pewność, że tak się nie stanie, cofnęła się o krok.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Słyszała w jego głosie troskę i chciała powiedzieć: „Nie, do licha. Nie czuję się dobrze. Boję się. I czuję się samotna. I pragnę ciebie”. Ale nie zrobiła tego. Nie mogła.

- Nic mi nie jest - odparła w końcu, gdy już mogła wydobyć głos ze ściśniętego gardła. - Jestem po prostu zmęczona.



- I niepokoisz się. Westchnęła.
- To też.
- Na którą Sarah musi być jutro w szpitalu? Pożądanie rozwiało się w jednej chwili, ustępując miejsca strachowi.

- Na dziesiątą.
- Przyjadę po was o dziewiątej.

Uniosła wzrok i, widząc determinację w jego oczach, zrozumiała, że nie ma co się spierać, bo i tak przegra.

- Nie musisz.
- Nie powiedziałem, że muszę - odparł miękko. - Powiedziałem, że przyjadę.

I wiedziała, że tak się stanie. W ciągu tego półtora tygodnia ich znajomości zdążyła się już nauczyć, że jeżeli Chance daje słowo, to na pewno go dotrzyma.

- Powinam spróbować cię od tego odwieść - sama się zdziwiła, że to mówi - ale nie będę nawet próbować.

- Bardzo dobrze - zgodził się i uśmiechnął przekornie. - Bo byś przegrała.

- Właśnie. Ale nie tylko dlatego.

- Tak?

- Tak. - Nie zamierzała przyznać, że pragnie go jak zakochana nastolatka. Ale mogła postawić sprawę przynajmniej do pewnego stopnia uczciwie. - Nie wiem, jak dałabym sobie tam radę sama. To znaczy, oczywiście mogę ją zawieźć do szpitala, ale potem... czekać samotnie, gdy będą ją przygotowywać do... - Słowo „operacja” nie mogło przejść jej przez gardło. Nawet nie chciała myśleć o zespole chirurgów i pielęgniarek pochylających się nad nieruchomym ciałem jej dziecka.

Zamknęła oczy, blokując tę wizję. A gdy poczuła, jak otaczają ją ramiona Chance'a, po prostu przytuliła się do niego, czerpiąc spokój z jego siły i dziękując losowi, że on tu z nią jest.

- Nie będziesz sama - obiecał. Jego serce uspokajająco biło tuż przy jej uchu.

- Wiem. I dziękuję.

Odsunął się odrobinę i gdy spojrzała na niego, zobaczyła, jak leciutko

marszczy czoło.

- Jennifer, nie musisz mi dziękować za to, że jestem z tobą.
- Ale...
- To nie jest żadna uprzejmość z mojej strony.
- Wiem. - Patrząc w jego oczy, widziała w nich pożądanie i troskę. -

Naprawdę ci wierzę.

Powoli skinął głową.

- To dobrze. Bo jestem tu z tobą tylko dlatego, że tego chcę.  
- Cieszę się - odparła. Chciała, by wiedział, co jego obecność dla niej znaczy. Nie spodziewała się, że będzie jej na nim zależało. Nie chciała tego. Ale te uczucia istniały. Mogła zachować je w tajemnicy przed nim, ale przed sobą nie warto było udawać.

Kącik jego ust uniósł się zaledwie w zapowiedzi tego, co potrafił zrobić uśmiechem, ale to i tak wystarczyło, by poczuła w sobie ogień.

Mocno ją uścisnął, a potem odsunął się, zanim zdążyła zrobić coś głupiego, jak, na przykład, poprosić go, by nadal trzymał ją w objęciach. Dobry Boże, co się z nią dzieje?

Od tyłu już dni udawało jej się zwalczyć te uczucia, a tu nagle była jak pasażer w pociągu.

Chance przesunął czubkami palców po jej policzku, a potem ręka mu opadła.

- Postaraj się spać tej nocy, dobrze? Skinęła głową.
- Do zobaczenia rano.

Jeszcze raz skinęła głową, bo gardło miała tak zaciśnięte, że nie przeszłoby przez nie ani jedno słowo. Tak więc w milczeniu patrzyła, jak idzie do drzwi, otwiera je, a potem znika.

Spać? Na pewno nie zaśnie. Dziś w nocy nie będzie spała. I nie tylko z lęku o Sarah. Nie da jej spać także pożądanie pulsujące w żyłach i świadomość, że jutro znów będzie z Chance'em.

Sprawy zaszły daleko.

- Pani Anderson, proszę, niech pani spróbuje się uspokoić - powiedział lekarz wyćwiczonym tonem, jakim zwracał się do przerażonych krewnych swoich pacjentów. - Istnieją wszelkie podstawy by sądzić, że operacja przejdzie gładko.

Gładko.

Jennifer objęła się rękami, usiłując uciszyć dreszcze przebiegające po całym ciele. Ale to nic nie pomogło. Sama myśl o tym, że jej dziecko już za kilka godzin będzie leżało na stole operacyjnym, wystarczyła, by lęk przenikał ją aż do szpiku kości.

- Czy mogę ją jeszcze raz zobaczyć? - spytała, wściekła na siebie za ten drżący, piskliwy głos.

Siwowłosy lekarz pełen współczucia przeniósł spojrzenie z niej na Chance'a i z powrotem.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł. - A gdy Jennifer już miała wybuchnąć protestem, dodał szybko: - Teraz przygotowują Sarah do operacji i lepiej będzie, jeżeli pani zostawi ją nam, aż będzie po wszystkim.

Po wszystkim. Co za brzydkie słowa, pomyślała Jennifer, wbijając wzrok w ścianę koloru mięty. Dlaczego właśnie mięty, pomyślała bezwiednie. Nigdy nie lubiła tego koloru, aż w końcu go znienawidziła po czasie, jaki spędziła w szpitalu przy umierającym mężu.

Zadrżała i spazmatycznie wciągnęła powietrze.

- Jak długo?! - wybuchnęła. - Jak długo potrwa operacja?

- Trudno powiedzieć - odparł doktor Miller. - Zazwyczaj takie standardowe zabiegi trwają od dwóch do sześciu godzin.

Zazwyczaj.

W jej uszach rozbrzmiały inne słowa, także wypowiedziane przez lekarza. Standardowy zabieg. Ale tu nie było nic zwyczajnego ani standardowego. Bo to przecież jej dziecko będzie operowane.

Jennifer poczuła pustkę w żołądku i mimowolnie zacisnęła zęby.

- Dziękuję, panie doktorze - odezwał się Chance, gdy milczenie zaczynało się przeciągać. Objął Jennifer za ramiona i przyciągnął do siebie.

Wdzięczna za ten gest, oparła się o niego. Skoro nie musiała już się martwić, że upadnie, gdyby kolana się pod nią ugięły, mogła skupić uwagę na słowach lekarza.

- Po prostu proszę próbować się uspokoić - powtórzył jeszcze doktor Miller niepewnie, bo przecież rozumiał, jak niestosownie brzmi ta rada. - Natychmiast po operacji przyjdę do państwa.

- Będziemy czekać - zapewnił go Chance, gdy lekarz już się

odwracał, by odejść za podwójne drzwi, za którymi była Sarah i sale operacyjne, i o wiele za dużo spraw, które mogły potoczyć się źle.

Nadal obejmując Jennifer, Chance poprowadził ją korytarzem do niewielkiej poczekalni.

Telewizor z wyłączonym głosem stał na półce w kącie, na podłodze pokrytej zielonym linoleum stały kanapy w drażniącym pomarańczowym odcieniu i porysowane, lecz czyste stoliki. Na nich leżały porozkładane magazyny i gazety, był tu również ekspres do kawy i herbaty. Naprzeciwko wejścia zobaczyli wyjście na małe, wypełnione roślinami patio.

Chance usadowił Jennifer na kanapce obok okna wychodzącego na patio i sam usiadł obok. Spędzili już razem całe godziny w tym szpitalu. Rzucił okiem na ścienny zegar. Kwadrans po jedenastej. Ile godzin będą musieli czekać?

Nagle podenerwowany, wstał i wpakował ręce do kieszeni. Nie może tak siedzieć. Musi coś zrobić.

- Napiłabyś się kawy? Albo herbaty?

Spojrzała na niego. W jej oczach było przerażenie. Tak bardzo pragnęłyby pomóc... jakoś. Musi być coś, co mógłby dla niej zrobić. Podczas misji mógł przynajmniej sprawdzać broń i sporządzać plany walki. Tutaj był bezużyteczny jak te stare magazyny na stolikach.

- Nie - odparła cicho, a jej spojrzenie pobiegło do drzwi. - Chyba nie dałabym rady nic przełknąć.

- Dobrze cię rozumiem - powiedział i znów usiadł obok niej. - Ale mamy przed sobą długie oczekiwanie.

Wyprostowała się i spojrzała mu w oczy.

- Och, przykro mi. Już tyle czasu tu spędziłeś. Nie musisz ze mną zostawać.

Chance westchnął i przeczesał włosy palcami.

- Nie to chciałem powiedzieć. I na pewno nigdzie stąd nie pójdę. Zostanę, póki nie będę wiedział, że z tobą i Sarah wszystko jest w porządku.

Jennifer zaczęła wykręcać sobie palce, aż wreszcie wziął ją za rękę.

- Dziękuję - powiedziała, opuszczając na chwilę wzrok, a potem znów spojrzała na niego. - Naprawdę się cieszę, że zostaniesz. Nie

chciałabym tu teraz być sama.

- Nie będziesz sama - powiedział po prostu, przytulając ją. Objęła go i położyła głowę na ramieniu Chance'a. A on poczuł się... dobrze. Oparł głowę o tył kanapy, zamknął oczy i pomyślał o chwili, kiedy ostatnio widział Sarah. Miała podłączoną kroplówkę, oczy spuchnięte od płaczu, wydawała się za mała na to, by leżeć w tym wielkim szpitalnym łóżku.

Ale bardziej niż żał z powodu Sarah, męczyła go bezradność, gdy widział, jak Jennifer boi się o swoje dziecko. Chciałby zabrać od niej ten strach. Pragnął, aby u niego szukała pomocy. Chciał być tym mężczyzną, który by ją trzymał w ramionach i pomógł przejść przez najgorsze chwile życia.

I te pragnienia wprost nim wstrząsnęły.

Otworzył oczy i wpatrzył się w sufit. Nigdy przedtem nie pragnął być dla nikogo ważny. Zawsze chlubił się tym, że sam przychodzi i sam odchodzi. Nigdy nie angażował się na tyle, by potem żał mu było zrywać. Wyobrażał sobie, że dzięki temu będzie bezpieczny. Nie był podobny do Douglasa. I nigdy nie pragnął zwyczajnego życia.

Nigdy nie chciał, by komuś na nim zależało.

A teraz zrozumiał, że to wszystko może być najważniejszą sprawą w życiu.

---

## ROZDZIAŁ ÓSMY

---

Godzinę później siedzieli w szpitalnej kafeterii. Jennifer nie była głodna, ale by udobruchać Chance'a zgodziła się tu przyjść i teraz patrzyła w talerz z mało apetyczną potrawą.

- Nie możesz odżywiać się przez osmozę - tłumaczył. - Musisz włożyć jedzenie do ust i pogryźć je.

Jennifer westchnęła i posłusznie wzięła widelec do ręki, ale zamiast jeść, zaczęła nim kreślić wzory w ziemniaczanym puree. Zaraz jednak i tego zaprzestała, i odłożyła widelec. Pokręciła głową.

- Nie mogę. Przepraszam. Spojrzał na nią ze zrozumieniem.

- No dobrze. Może później. - Podsunął jej pod prawą rękę filiżankę z gorącą herbatą. - Przynajmniej coś wypij.

Posłusznie wypila jeden łyk, ale wiedziała, że więcej nie zdoła. Żołądek miała zaciśnięty w supeł, coś dławiącego podchodziło jej do gardła.

Rozejrzała się. Personel szpitalny zajmował wydzieloną część sali. Rozmawiali, śmiali się, wyglądali tak, jakby miło spędzali czas. Dla nich to było po prostu miejsce pracy. Tutaj leczyli Chorych, podawali lekarstwa, ale potrafili zachować dystans wobec ludzi, którymi się opiekowali.

Atmosfera w części sali przeznaczonej dla pozostałych stołowników była krańcowo odmienna. Tu rozmawiano przyciszonym głosem, od czasu do czasu rozlegały się niespokojne westchnienie, a nawet łkanie czy cichy płacz.

Jennifer patrzyła na swoich towarzyszy w cierpieniu. W oczach niektórych widniała rozpacz. Zdała sobie sprawę, że sama też wygląda tak samo. Co ją nawiedziło? Dawne lęki? Czy też może przybyły jeszcze nowe, dotąd nieznanne?

- O czym myślisz?

Z ulgą zwróciła spojrzenie na Chance'a.

- Wspominałam... czas, kiedy byłam tu przedtem.

- Opowiedz o tym - poprosił.

Może chciał, by z nim rozmawiała. By zabić jakoś czas. Ale niezależnie od powodu, zaczęła mówić.

- To było prawie dwa lata temu - powiedziała i znów widziała tamte wydarzenia, tyle że tym razem była jakby ich obserwatorem. - Do naszego domu przyszedł policjant z wiadomością, że Mike został ranny. Przywiózł mnie tutaj, posadził na krześle i przyniósł kawę. Powiedział, że lekarze robią, co mogą. - Jeszcze czuła współczujące spojrzenia rzucone jej przez policjantów tłoczących się w korytarzu. Czekali na informacje o stanie Mike'a.

Policjanci naprawdę stanowili żywą społeczność. Gdy jeden z nich zostawał ranny, pozostali zacieśniali szereg i robili to, co musiało być zrobione.

Opowiadając, bawiła się uszkiem filizanki, a wzrok miała wbity w swoje dłonie.

- Minęła prawie godzina, zanim wyszedł do nas lekarz. -

Wspomnienie nadal bolało. Zadrzała. - Wiedziałam, zanim cokolwiek powiedział. - Znów podniosła wzrok na Chance'a. - To było w jego oczach. Żal, litość, porażka. Powiedział, że mu przykro, ale już nic więcej nie można zrobić.

Chance sięgnął przez stół i wziął ją za rękę. Ścisnęła go z całej siły, jakby ratując się przed skokiem w przepaść.

- Zaprowadzili mnie do niego - ciągnęła. - Leżał w łóżku, aparatura popiskiwała w jakiś dziwny sposób. - Zamilkła na chwilę. - Wydał mi się taki zmęczony. Pomyślałam nawet, że może po prostu musi trochę odpocząć.

Chance mocniej uściśnił jej rękę. Roześmiała się krótko, ale w jej oczach nie było wesołości.

- Usiadłam przy łóżku, patrzyłam na zielone ściany, liczyłam te popiskiwanie, trzymałam go za rękę i obiecywałam, że opowiem o nim dziecku, gdy się urodzi. - Zaciskając palce na ręku Chance'a wciągnęła spazmatycznie powietrze. - Przy dwa tysiące dwudziestym szóstym

piknięciu aparatury Mike umarł.

- Tak mi przykro.
- Dlaczego? To nie twoja wina.
- Wiem.
- To wina Mike'a.
- Co takiego?

Zobaczyła zdziwienie w jego oczach. Cofnęła rękę, skrzyżowała ramiona na piersi w instynktownie obronnej postawie.

- Mike kochał swoją pracę. Kochał podniecenie wywołane niebezpieczeństwem - wyjaśniła gorzko. - Nie chciał albo może nie mógł z tego zrezygnować. Nawet wtedy, gdy już spodziewałam się dziecka i poprosiłam o to. Tego nigdy w nim nie mogłam zrozumieć. I nadał nie rozumiem.

- A ja go rozumiem - powiedział cicho Chance. - Gdy stawka jest wysoka, żyje się pełnią życia. - Pokiwał głową i kontynuował szeptem, przeznaczonym tylko dla jej uszu. - Nie wie się, ile życie jest warte, póki człowiek nie otrze się o śmierć.

- Głupiec! - parsknęła Jennifer, pochylając się do przodu. I zanim zdążył otworzyć usta, by się sprzeciwić, już, napędzana paniką, wyrzucała z siebie potok słów:

- Ty i Mike jesteście tacy do siebie podobni jak bliźniacy. I żaden z was nie ma rozumu. - Jej głos trochę się obniżył, gdy zmierzała do sedna sprawy. - Sarah jest teraz tam, na górze na sali operacyjnej. I właśnie „ociera się o śmierć”, jak to nazwałeś. Myślisz, że dzięki temu bardziej ceni życie?

- To zupełnie co innego i doskonale o tym wiesz

- powiedział gorączkowo. - Sarah jest bezbronnym dzieckiem, a ja mówię o mężczyznach. O mężczyznach, którzy pragną się sprawdzić, wykonując pewną pracę, bo przecież zadanie musi być wykonane. Gdybym mógł zamienić się miejscami z Sarah, ani chwili bym się nie wahał. - Zacisnął na blacie ręce w pięści.

- To, co ja robię - i co robił Mike - jest absolutnie konieczne. Jest to robota, która ma znaczenie dla tysięcy ludzi. Mike dbał o bezpieczeństwo innych ludzi, ryzykując własnym.

- I umarł.



- To prawda. Ale cholernie dobrze wiesz, że tego nie planował.  
- Niezależnie od tego, czy planował, czy nie, tak się stało. Zostawił mnie samą i w ciąży. - Ogarnął ją znajomy ból, a razem z nim przyszła złość na Mike'a, o której myślała, że od dawna zniknęła. Jej spojrzenie pobiegło w górę, ku piętróm, tam, gdzie jej dziecko w tej chwili leżało na sali operacyjnej. - I teraz sama muszę czekać na wiadomość, czy moja córka będzie żyła, czy umrze.

Dotknął jej ramienia. Nadal zaciskała ręce na piersi.

- Jennifer, nie jesteś sama.

Spojrzała mu w oczy. Tak, to prawda. Był tu z nią.

Ale nie na długo. I lepiej będzie dla niej, jeśli o tym nie zapomni.

Westchnęła głęboko.

- Nie zrozum mnie źle. Jestem ci wdzięczna za to, że jesteś tu ze mną...

- Ale? - Przynaglił ją, by skończyła myśl.

- Ale - powiedziała - wkrótce wyjeżdżasz. Jego usta zacisnęły się w ponurą, twardą linię.

- Tak naprawdę ty w tym nie uczestniczysz - dodała, i poczuła się lekko winna, gdy zobaczyła smutek w jego oczach. - Niedługo wyjedziesz, i ja znów zostanę zdana tylko na siebie. Jesteś taki sam jak Mike. Nie możesz się doczekać powrotu do swojego niebezpiecznego świata. Ale właściwie to niczego nie zmienia. Moje życie będzie się toczyło swoim trybem, tak jak do tej pory. Sarah i ja przeciw światu. Same.

Z tymi słowy zerwała się z krzesła talk gwałtownie, że niemal się przewróciło. Chwyła torebkę i pobiegła do drzwi, ani razu się nie oglądając. Gdyby się obejrzała, zobaczyłaby, że Chance pędzi za nią.

Dogonił ją na korytarzu, chwycił za ramię i szarpnięciem odwrócił twarzą do siebie.

Łzy przesłaniały jej wzrok, ale mimo to widziała, że jest wściekły. Jej serce waliło tak, że nie byłaby zdziwiona, gdyby wyskoczyło z piersi.

Jego chwyt osłabł, ale był nadal dość mocny, by zrozumiała, że nie może się wyrwać.

- Nie myl mnie ze swoim mężem, Jennifer. Ja nim nie jestem.

- Wiem - odparła nerwowo. Och, wiedziała o tym bardzo dobrze.

Gdy stała tak blisko niego i czuła, jak obdarzą ją swoją siłą, ogarniał ją wir emocji, jakich dawno nie zaznała.

Jennifer kochała swojego męża. Ale była to zwyczajna miłość. Pełna czułości i sympatii, bez wzlotów i upadków, monotonna.

Gdy dotykał jej Chance, w jej żyłach rozpalał się ogień, emocje sięgały szczytu, a zaraz potem opadały jak na dno. Myśli się rozpląwały, a w ciele szaleńczo pulsowało pożądanie, każąc jej pragnąć rzeczy, których, jak doskonale wiedziała, nie powinna pragnąć.

Nie, Chance nie jest taki jak Mike.

Jest o wiele bardziej niebezpieczny.

- Puść mnie! - zażądała, ale sama wyczuła, jak niepewnie brzmi jej głos.

- Jeszcze nie. - Skierował ją do windy, by wjechać z powrotem na trzecie piętro, do poczekalni. W kabinie poza nimi były jeszcze cztery osoby, więc oboje milczeli.

Gdy doszli do poczekalni, Chance pociągnął jeszcze Jennifer na małe patio, i dopiero tam ją uwolnił.

Jennifer potarła ramię, ale nadal czuła uścisk jego palców. Spojrzała na Chance'a. Milczał chwilę, ale na jego twarzy odbijała się gama emocji, nie pozwalając odgadnąć, co naprawdę czuje i myśli.

W końcu jednak wziął głęboki oddech i wybuchnął:

- Przepraszam. Nie chciałem cię zdenerwować. Nie chciałem dodawać ci jeszcze więcej smutku do tego, co już tu dziś przeżywasz.

- Wiem.

- Jennifer - kontynuował, jakby w ogóle się nie odezwała - nie myl mnie ze swoim zmarłym mężem. Jesteśmy różnymi mężczyznami.

- Różnymi - powiedziała - a tak bardzo podobnymi.

- Na pewno w jednej rzeczy - przyznał, likwidując odległość między nimi jednym długim krokiem. - I jemu zależało na tobie, i mnie też zależy.

Będą kłopoty!, krzyknął jej umysł, ale ciało nie chciało słuchać.

Chance dotknął rękami jej twarzy i pochylił głowę. Patrzyła na niego jak schwytna sarna i próbowała zebrać siły, by stawić opór.

Ponieważ nie była w stanie przewidzieć, że dotyk jego ust wyrze na niej tak piorunujące wrażenie, nie była przygotowana na taki wybuch

doznań.

Zwykły, krótki, czuły pocałunek. Zaledwie muśnięcie jego ust na jej wargach.

I świat się zatrzęsł pod jej nogami.

Gdy Chance się odsunął i spojrzał na nią, zobaczyła w jego oczach takie samo oszołomienie, jakie zapewne malowało się również na jej twarzy.

- Uff! - sapnął, wypuszczając powietrze z płuc.

- No właśnie - przyznała. Oparła się o niego, wdzięczna, że otaczają ramionami, bo tylko dzięki temu utrzymała się na nogach. Potem będzie czas na martwienie się tym pocałunkiem i zastanawianie się, co dla niej oznaczał.

Teraz wystarczyła jej świadomość, że nie jest sama.

- Dlaczego to trwa tak długo? - niecierpliwiła się, przemierzając niestrudzenie poczekalnię. - Przecież dochodzi czwarta. Chyba powinni byli już skończyć!

Jennifer niemal wydeptała ścieżkę w linoleum. Chance'a męczyło samo patrzenie na nią. Rozumiał, że ze zdenerwowania nie może usiedzieć w miejscu, ale nie podobał mu się wyraz jej oczu. Ani bladeść twarzy.

W poczekalni była jeszcze jedna para, starsi ludzie. Siedzieli spokojnie na kanapie. Przyszli tu dopiero godzinę temu i jeszcze nie okazywali oznak niecierpliwości. Ich czas dopiero przyjdzie.

Chance wstał, podszedł do Jennifer, wziął ją pod ramię i poprowadził na patio.

- Chodź - powiedział. - Przyda ci się łyk świeżego powietrza.

Popatrzyła na drzwi wejściowe.

- Ale jeżeli przyjdzie lekarz...

- Zobacz nas przez szybę.

- Dobrze - mruknęła, nerwowo poprawiając włosy ręką.

Gdy Chance otworzył drzwi, owionął ich chłodny, świeży podmuch. Jennifer zamknęła oczy i wystawiła twarz na wiatr, oddychając głęboko. Chance po prostu na nią patrzył, zachwycony widokiem, jaki sobą przedstawiała. Miała jasne włosy przeczesywane wiatrem, ręce skrzyżowane na piersi, brodę buntowniczo uniesioną, jakby wyzywała samych bogów.

Wiedział, że na zawsze zapamięta tę chwilę i to, jak pięknie Jennifer wygląda, mimo drażącego ją strachu.

- Boże - powiedziała tak cicho, że wiatr niemal ją zagłuszał. - Jak ja potrzebowałam wydostać się z tej poczekalni. Dziękuję, że mnie stamtąd wyprowadziłeś.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł i mówił to poważnie. Do licha, z jaką przyjemnością na nią patrzył. Jej granatowy sweter podkreślał zaokrąglenia figury, a znoszone, wypłowiałe džinsy idealnie przylegały do nóg. I nawet teraz, mimo niepokoju o Sarah, ciało Chance'a było gotowe do akcji.

A pamięć o pocałunku, jaki wymienili kilka godzin temu, jeszcze dodatkowo podsyciała płonący w nim ogień.

- Ostatnio bez przerwy ci za coś dziękuję, prawda? - zapytała.

- Nie wiem. Czyżbyś prowadziła księgę swoich podziękowań?

- Może powinnam - odparła, idąc do ławki ustawionej w kącie patia.

I, przyglądając mu się, kontynuowała:

- Chance, byłeś cudowny. Naprawdę. Ale próbuję zrozumieć, dlaczego...

- Dlaczego co?

- Dlaczego tu jesteś. Czemu siedzisz tu ze mną przez cały dzień i dotrzymujesz mi towarzystwa.

- Już ci mówiłem. Jestem tutaj, bo chcę być. - I dlatego, dodał w duchu, że nie potrafił sobie nawet wyobrazić, by mógł być gdzie indziej.

Pokręciła łagodnie głową.

- To nie jest odpowiedź.

- A czy musi być jakiś powód?

- Tak. Myślę, że musi być.

Zakłopotany, potarł ręką kark. Niezręcznie jest myśleć o powodach, a co dopiero o nich mówić. Spróbował zmienić temat.

- Emma tu była. Grant też. Dlaczego moją obecność uważasz za tak niezwykłą?

Jennifer wstała i podeszła do niego. Odchylając głowę do tyłu poszukała jego wzroku i już nie umykała spojrzeniem. Chance natychmiast zatracił się w zieleni jej oczu. Pomyślał, że w innym miejscu i w innej chwili mógłby się nawet utopić w tej zadziwiającej

zielonej głębinie.

- Tych ludzi znam już od lat - powiedziała. - I wiem, że troszczą się o mnie i o Sarah. Przyszli, posiedzieli chwilę i poszli. Tymczasem ty... Niezwykłe jest to, że znam cię niespełna dwa tygodnie, a ty prawie cały ten czas spędziłeś ze mną.

Robił to, bo nie mógł jej zostawić. Zrobiłby wszystko, by z nią zostać na zawsze. Ale, z drugiej strony, gdyby zażądała, by sobie poszedł, bo tak byłoby jej łatwiej - odszedłby. Pewnie by go to zabiło, ale odszedłby.

- Jeżeli nie chcesz, żebym tu z tobą był - powiedział miękko, szukając odpowiedzi w jej oczach - po prostu mi to powiedz.

Jennifer krótko się zaśmiała.

- Ach, jakże źle mnie zrozumiałeś! Nie to chciałam powiedzieć.

- Więc co? - spytał Chance, rozdarty między frustracją i irytacją.

- Chyba staram ci się podziękować. Znowu.

- Więc przestań - powiedział, patrząc na nią łakomie. - Nie chcę, żebyś mi dziękowała. Pragnę tu być, i to wszystko.

Jennifer skinęła głową i spojrzała na niego w zamyśleniu. Coś w jej oczach zajaśniało, ale nie był pewien, co. Zanim jednak zdążył się nad tym zastanowić, jej spojrzenie pobiegło gdzieś nad jego ramieniem. Pobladła.

- Lekarz! - zawołała drżącym głosem, pędząc do drzwi.

Ale lekarz uśmiechał się i Chance poczuł, jak z serca spada mu kamień. Położywszy rękę na ramieniu Jennifer, czekał na wiadomości.

- Wszystko poszło dobrze - zaczął doktor Miller. - Sarah przeszła przez to jak dzielna wojowniczką.

- Naprawdę? - Jennifer nie mogła oddychać. - Dobrze się czuje? Możemy ją zobaczyć?

Lekarz spojrzał na Chance'a i lekko pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Przez parę godzin Sarah zostanie na sali pooperacyjnej, ale gdy ją stamtąd przeniesiemy na oddział intensywnej opieki, oboje będziecie mogli przyjść na kilka minut.

- Ale dobrze się czuje? - niepokoila się Jennifer.

- Doskonale. - Doktor Miller ze zrozumieniem poklepał Jennifer po ręce. - Zanim się spostrzeżecie, będzie zupełnie zdrowa, jak nowo narodzona.

- Och, Boże - szepnęła Jennifer, zakrywając ręką drżące usta. -  
Dziękuję, panie doktorze! - wykrzyknęła. Niespodziewanie rzuciła mu się na szyję i uściskała go z całej siły.

Doktor niezręcznie poklepał ją po ramieniu, posłał Chance'owi ogłupiałe spojrzenie i odstał o krok.

- Nie ma za co. Teraz powinniście państwo pójść coś zjeść i odpocząć. Przyjdę po was, gdy już będzie można odwiedzić Sarah - powiedział i wyszedł z pokoju.

- Jest zdrowa - szepnęła Jennifer.

- Tak, jest zdrowa - powtórzył Chance, wiedząc, że ona chce słyszeć te słowa ciągle, bez przerwy i od nowa.

- Jak nowo narodzona.

- Jeszcze lepiej - oznajmił stanowczo.

- Moje dziecko jest zdrowe! - wykrzyknęła i teraz z kolei rzuciła się na szyję Chance'owi. Trzymała go tak mocno, że z trudem oddychał. Ale nie zamierzał się odsunąć.

- Moje dziecko jest zdrowe - mówiła raz za razem, patrząc mu w oczy. - Naprawdę jest zdrowe. Już po wszystkim.

- Tak, Jennifer, już po wszystkim, i dałaś sobie radę - potwierdził, głaszcząc ją po policzku.

- Razem daliśmy sobie radę - poprawiła go, a potem, przycisnęła usta do jego ust i obdarzyła pocałunkiem, o jakim marzył od chwili, gdy ją zobaczył.

---

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

---

Usta i oddechy przenikały się, ciała dotykały. Jennifer dała mu wszystko, co miała, wszystko, co do tej pory ukrywała, wszystko, co chciała mu dać niemal od pierwszej minuty, gdy go zobaczyła. Jego ręce gładziły ją po plecach, aż niemal mogłaby przysiąc, że mimo grubego swetra, jaki miała na sobie, czuła na skórze ich palący dotyk.

Chance pożerał to, co oferowała i oddawał stukrot-nie. Rozsmakowywał się w pulsującym podnieceniu i cichych szeptach. Serce Jennifer łomotało, szumiało jej w uszach, kolana drżały. Przywarła do Chance'a, wciskając palce w jego ramiona, czując, jak otacza ją ciepło i wspiera jego siła.

A gdy w końcu oderwała usta od jego warg i odchyliła głowę, łapała powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Popatrzyła w te oczy koloru whisky.

- Było wspaniale! - szepnęła z uśmiechem.
- Skarbie - mruknął - to dopiero początek. Nawet sobie nie

wyobrażasz, co będzie dalej.

Ciepło i rozkosz przepłynęły po niej i z trudem przełknęła ślinę. Teraz, gdy go pocałowała, gdy dała mu sygnał, jak bardzo go pragnie, nie będzie już odwrotu. Wiedziała o tym. I liczyła na to.

Bo teraz, gdy już miała pewność, że Sarah wyzdrowieje, zamierzała zastosować się do rady Emmy. Skorzysta z okazji i zgarnie również coś dla siebie. A jeżeli będzie z tego powodu jeszcze bardziej cierpiała, przynajmniej zostaną jej wspomnienia chwil, kiedy była w ramionach Chance'a, a to pomoże jej żyć dalej.

- Masz zwyczaj dotrzymywać słowa, prawda? - spytała, zdejmując rękę z jego szyi.

- Możesz na to zawsze liczyć. - Chance wpatrywał się w nią

natarczywie.

- Och, liczę na to, kapitanie. Bardzo na to liczę. - Potem wsunęła rękę pod jego ramię i pochyliła się ku niemu. - Ale by odzyskać siły i być w formie, najpierw muszę coś zjeść.

Na cudownych ustach Chance'a pojawił się dwuznaczny uśmiezek.

- Chcesz być w dobrej formie, Jennifer? Zaraz cię zaproszę na największy stek, jaki można dostać w Chicago.

Dwie godziny później wrócili z kolacji i znów stali przed znajomymi drzwiami oddziału intensywnej terapii.

Próbując się opanować, Jennifer wzięła głęboki oddech i chwyciła Chance'a za rękę. Jakie to dziwne, pomyślała. Dwa tygodnie temu nawet nie wiedziała, że ktoś taki istnieje. A teraz trzyma go za rękę, tak jakby od tego zależało jej życie. Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, że go nie ma i musi sama wejść do Sarah.

Mijały już dwa lata, odkąd samodzielnie radziła sobie ze wszystkim, co przynosiło życie. Dla Sarah musiała być i matką, i ojcem. Starła się jak najlepiej wypełniać ten obowiązek, ale to nie było łatwe. Czasami brakowało jej siły, a poza tym czuła się taka samotna. Dałaby wszystko, by słyszeć w domu przyjazny głos.

Teraz miała przy sobie Chance'a. Dzielił się z nią swoim spokojem i siłą, dawał jej wsparcie, a to znaczyło dla niej więcej niż potrafiłaby wyrazić.

- Jesteś gotowa? - spytał, ściskając jej rękę.

Nie ufając swojemu głosowi, skinęła głową i, gdy otworzył przed nią drzwi, ruszyła na oddział.

Najpierw dotarły do niej dźwięki. Głośno syczący respirator i równomierne piski jakiegoś innego aparatu. Aż za wyraźnie przypominały jej ostatnią noc z Mikiem. Ale teraz jest inaczej, powiedziała sobie, zmuszając się do wejścia na salę. Te piski mierzą silny, pewny rytm, w jakim bije uzdrowione serce Sarah.

Spojrzała na swoje dziecko i w gardle zamarł jej szloch. Wsunęła rękę między metalowe pręty dzielące ją od córeczki i łagodnie, ostrożnie musnęła jej włosy. Dziewczynka spała. Lekarz powiedział, że będzie dostawać środki nasenne aż do chwili, gdy będzie można odłączyć respirator. W małej rączce tkwiły dwie igły do kroplówki, poza tym było



tu mnóstwo innych jeszcze rurek i przewodów, o których Jennifer nawet nie chciała myśleć.

- Och, dziecinko - szepnęła. Łzy zamgliły jej wzrok.

- Wygląda okropnie, wiem - powiedział spokojnie Chance, kładąc jej rękę na ramieniu. - Ale wszystko będzie dobrze. Już jest po operacji i teraz musi tylko wrócić do sił.

- Jest taka drobnutka. Tak maleńka.

- Ale silna - przypomniał jej. - Zupełnie jak jej matka.

Jennifer przykryła jego rękę swoją dłonią. Gdy tak stali w milczeniu, do pokoju weszła siwowłosa pielęgniarka, uśmiechnęła się do nich i sprawdziła instrumenty. Rzuciła okiem na kartę choroby i powiedziała:

- Państwo Anderson? Jeszcze tylko chwilkę...

- Och... - zaczęła Jennifer, zdumiona. - My nie jesteśmy...

- Wiem - weszła jej w słowo pielęgniarka. - Nie jesteście jeszcze gotowi, by zostawić waszą córeczkę. Ale ona prześpi dwa następne dni. Nawet nie będzie wiedziała, że tu jesteście. A wam obojgu przespana noc dobrze by zrobiła.

- Chyba tak - przyznał Chance, a Jennifer rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Obiecuję - zapewniła ich pielęgniarka - że dobrze się zaopiekuję waszą małą.

- Ja... czy możemy przyjść jutro rano?

- Możecie przychodzić, kiedy chcecie. Wolno wam przebywać z Sarah przez dziesięć minut co godzinę.

Gdy wyszła, Chance uśmiechnął się do Jennifer.

- Nie chciałem jej wyprowadzać z błędu i przedłużać rozmowy - powiedział, żeby się wytłumaczyć, dlaczego nie zmienił przekonania pielęgniarki.

Jennifer skinęła głową i pochyliła się nad Sarah. Starając się nie zwracać uwagi na rurki i przewody, skupiła spojrzenie na twarzy dziewczynki. Z radością zauważyła, że jej policzki są lekko zaróżowione, a cienie pod oczami, do tej pory zawsze widoczne, prawie zniknęły.

Sarah wracała do zdrowia. Naprawdę wracała do zdrowia. Ulga, jaką Jennifer odczuła, była tak wielka, że zakręciło jej się w głowie. Od tak

dawna żyła strachem, a teraz jej dziecko było na najlepszej drodze do wyzdrowienia. Miała przed sobą przyszłość. Wyrośnie, wyjdzie za mąż i będzie miała własne dzieci.

Serce Jennifer wezbrało wdzięcznością i szczęściem. Pochyliła się, musnęła ustami włoski Sarah i ze wzruszeniem szepnęła:

- Kocham cię, dziecinko. Śpij dobrze.

- Miałaś dobry pomysł z tym szampanem - stwierdziła Jennifer, podsuwając Chance'owi kieliszek do powtórnego napełnienia.

- Bo i mamy co świętować.

- O, tak, mamy! - wykrzyknęła, pijąc łyk szampana. Roześmiała się, gdy piana utworzona z bąbelków połaskotała ją w gardle. - Słowo daję, czuję się lekka jak piórko. Wiem, że Sarah musi jeszcze przejść rekonwalescencję, ale to już tylko kwestia czasu, i będzie naprawdę zdrowa.

- Pewnie, że tak! - zgodził się Chance i poczuł, jak przepenia go radość. Dziecko wyzdrowieje, a Jennifer już jest szczęśliwa.

Przez okna, przesłonięte koronkowymi firankami, wpadały promienie księżyca, z radia płynęła muzyka. Jennifer opadła na oparcie kanapy i patrzyła na niego z tajemniczym uśmiechem.

- O co chodzi? - spytał w końcu.

- Po prostu rozmyślałam - odparła, wstała i odstawiła swój kieliszek na stolik.

- No, to może się okazać niebezpieczne - mruknął, niezupełnie żartując. - Jakoś tak bywa, że gdy kobieta mówi, że myśli, na mężczyznę spadają kłopoty.

Jennifer pokręciła głową i jasne włosy otoczyły miękkimi falami jej twarz.

- Nie tym razem.

- Naprawdę? - spytał Chance, stojąc absolutnie nieruchomo, gdy się do niego zbliżała. - A to dlaczego?

- Ponieważ - odparła Jennifer, patrząc mu w oczy i pozwalając dostrzec pełnię swojego pożądanego - myślę o randce, na którą umówiliśmy się wcześniej.

- Mówisz prawdę? - Wszystko w nim rozgorzało. Pragnął Jennifer bardziej niż kogokolwiek czy czegokolwiek do tej pory. A mimo to...

Chance westchnął i powiedział to, co musiał, jeżeli chciał potem jeszcze móc na siebie patrzeć w lustrze. - Jen, wypijaś mnóstwo szampana i...

- Nie aż tyle - sprzeciwiła się z uśmiechem.
- Ale dość, by teraz wpływał na twoje decyzje.
- Jesteś człowiekiem honoru, prawda? - podeszła o krok bliżej.

Pożądanie wibrowało między nimi jak naprężona struna. - Jesteś oficerem i dżentelmenem. Jak w kinie.

Niezbyt zachwycony tym komplementem, Chance wzruszył ramionami.

- Po prostu nie chcę cię wykorzystać, gdy może nie w pełni jesteś zdecydowana.

Jennifer roześmiała się. Był to niski, głęboki śmiech, który odbijał się echem od ścian i poruszył każdy nerw w jego ciele.

- Co cię tak rozbawiło?
- Ty. - Wzięła jego rękę i położyła ją sobie na ramieniu. - Na miłość boską, Chance, w końcu to ja się do ciebie zalecam!
- Owszem - syknął przez zaciśnięte zęby. - Zauważyłem.
- To dobrze. Bo już myślałam, że nie zwracasz na mnie najmniejszej uwagi.
- Cała moja uwaga jest zwrócona na ciebie.
- I zamierzam utrzymać ten stan. - Jennifer prowokowała coraz bardziej.
- Nie będziesz z tym miała najmniejszych trudności - zapewnił ją.
- Zatańcz ze mną - poprosiła, odchylając głowę do tyłu i uśmiechając się do niego.

Podniósł brew ze zdziwienia. Tego się nie spodziewał.

- Chcesz tańczyć?
- Tak, chcę tańczyć. Z tobą. Teraz.
- Tak jest, szanowna pani - powiedział, przyciągając ją bliżej. Z największą radością zrobi wszystko, by zatrzymać ją w ramionach. Obejmując ją mocno, poczuł jej piersi i gorący uścisk jej ręki. Oddech Jennifer muskał mu szyję, rozpalając płomień, który wybuchł mu we krwi i szybko się rozszerzał, rozsyłając uczucie gorąca po całym ciele, które zresztą i tak nie potrzebowało żadnej zachęty.

- Tak ładnie pachniesz - szepnęła.

- Twój zapach też jest wyjątkowy, Jen.
- Podoba mi się to.
- Co?
- Gdy nazywasz mnie Jen - wyjaśniła. - Nikt inny tak do mnie nie mówił.

Coś w nim zadrzało. Może stara, znajoma samotność, opuszczająca gniazdo, jakie sobie w nim uwiła. A może to mur, który sobie wybudował wokół serca, właśnie zaczynał się kruszyć. Był pewny tylko jednego: nigdy nie był szczęśliwszy niż w tej chwili, tańcząc w łagodnym świetle z Jennifer. Puścił jej rękę, ujął ją pod brodę i unióśł jej głowę tak, by na niego spojrzała.

- Cieszę się, że jestem pierwszy - powiedział, patrząc jej w oczy.

Potem, nie odwracając wzroku, jakby od tego zależało jego życie, pochylił się i dotknął wargami jej ust. Z początku ich pocałunek był miękki, delikatny, jakby na nowo odkrywali magię, którą poznali kilka godzin temu.

Ale zaraz przebiegła między nimi iskra wyładowania elektrycznego. Oblał ich żar.

Serca waliły jak oszalałe.

I w ciągu sekundy delikatność gdzieś zniknęła, ustąpiła miejsca pożądaniu, przyciągającemu ich do siebie z siłą, której żadne z nich nie mogło się oprzeć.

Nigdy nie będzie miał jej dosyć. Ta jedna jedyna myśl wypełniła cały umysł Chance'a i wirowała w jego głowie. Potrzebował jej tak bardzo jak następnego haustu powietrza. Nie, nawet bardziej. Bo bez niej nie miałby po co oddychać.

Gwałtownym ruchem ściągnął jej sweter przez głowę. Palcami zaczął wytyczać ścieżkę na jej jedwabistej skórze. Zadrzała w jego ramionach i ta reakcja go ośmieliła. Bez namysłu zdjął jej stanik i, nie odrywając się ani na chwilę od jej ust, zaczął ją pieścić, wyzwalając z niej jęk, który rozpałił mu zmysły.

- Chance - szepnęła, tuląc się do niego z całej siły. - Chance, jest tak dobrze, tak... cudownie.

W gardle coś go ścisnęło. Już samo patrzenie na grę uczuć na jej twarzy wystarczyło, by się pogrążył do reszty. Czuł się silny,

odważniejszy niż kiedykolwiek do tej pory. A jednocześnie kolana mu osłabły, i wszystko w nim drżało z wdzięczności, że dała mu ten dar, pozwalając się dotykać.

- Może być jeszcze lepiej - obiecał niskim, głębokim głosem. - O wiele lepiej.

- Tak - powiedziała, otwierając nieprzytomne oczy. - Daj mi więcej. Chcę wszystkiego. Wszystkiego, co może być.

- Dostaniesz wszystko - obiecał i padł przed nią na kolana.

Zaskoczona, zachwiała się, więc chwycił ją w pasie, aż odzyskała równowagę.

- Chance? - W tym jednym słowie mieściły się wszystkie pytania.

- Obiecałem ci wszystko - przypomniał jej. - A to jest dopiero pierwszy krok.

- Ale ja chcę czuć cię w sobie - szepnęła, bezwiednie wtulając się w niego biodrami.

Ogarnęła go fala gorąca. Zacieśnił uścisk.

- Poczujesz, skarbie. Oboje poczujemy. Zaufaj mi. Skinęła głową.

- Ufam ci - wyszeptała.

Potem pieścił ją, całował i dotykał. Czowała na sobie jego dłonie, powiew jego oddechu i dotyk jego ust. Jej serce biło coraz szybciej.

Zacisnęła ręce na jego ramionach. Chciała to wszystko zapamiętać. Na pewno wszystko, co się teraz działo, zapadnie jej głęboko w pamięć. Za każdym razem, gdy wejdzie do tego pokoju, będzie sobie przypominać tę chwilę. Będzie mogła go zobaczyć, jak klęczy przed nią, czuć jego usta na swej skórze, gładzące ją ręce. I będzie doświadczać tego niemal paraliżującego odczucia wyczekiwania na rozkosz.

I będzie chciała doznawać tego ponownie.

Ale teraz nie obchodzi jej jutro. Ani wszystkie następne dni, jakim będzie musiała stawić czoło. Chance jest tutaj. Jego dotyk. Jego zapach. Jego...

Aż się zachłysnęła, gdy ją pocałował

- Chance... - szepnęła, zaciskając palce na jego ramionach. - Proszę...

Poczuła miękkość w kolanach, ale siłą woli utrzymała się na nogach. Gdy wstrząsnęła nią pierwsza fala spełnienia, poddała się jej z rozkoszą, pewna, że w ramionach Chance'a jest bezpieczna.

---

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

---

Jennifer się zachwiała. Chance szybko podtrzymał ją i objął jedną ręką, a drugą dosłownie zrywał z niej ubranie.

- Ach - westchnęła - tę zręczność zawdzięczasz szkoleniu, jakie przeszedłeś jako komandos SEAL czy też to naturalny talent? Bo muszę ci powiedzieć, że jestem pod wrażeniem.

Uśmiechnął się mimo płonącej mu w żyłach krwi. Jennifer miała błyszczące oczy i rozpalone policzki. Trzymając ją w ramionach, czuł, jak cała drży. Przed nimi była jeszcze długa droga.

- Wydaje ci się, że to było nadzwyczajne? - Pokręcił głową. - Jen, mówiłem, ci, że jeszcze nic nie widziałas.

- Och! - szepnęła, rzucając mu się na szyję.

- No właśnie. I w tym duchu będziemy kontynuować - mruknął, prowadząc ją w kierunku korytarza. Czekał tak długo, jak mógł. Ale teraz już musi ją mieć. Zaraz. Zanim straci do reszty głowę.

- Może...

Potknął się i spojrzał na Jennifer.

- Może? Nie to chciałem teraz usłyszeć.

- Wiem - odparła, odgarniając włosy z twarzy. - Ale lepiej teraz niż za kilka minut.

- No, dobrze. Słucham cię.

Byli już w sypialni i Chance ruszył prosto do łóżka. Zaczął delikatnie głaskać Jennifer po policzku, czekając na to, co chciała mu powiedzieć. Musiała to być bardzo ważna sprawa, skoro Jennifer zdecydowała się przerwać to, co akurat robili.

Chyba mu nie powie, że właśnie zmieniła zamiar? To mogłoby go po prostu zabić.

Zsunęła rękę z jego karku, musnęła palcami przód jego koszuli i

Chance mógłby przysiąc, że czuł jej dotyk nawet przez materiał. Nie przeżyje, jeżeli Jennifer zmieniła zdanie.

- Nie mam żadnego... Może... - Zamilkła, odwróciła głowę i dokończyła z zażenowaniem: - Co za głupota! Potrafię powiedzieć „seks”, a słowo „prezerwatywa” nie przechodzi mi przez gardło.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Tylko tyle? I stąd było to „może”?

- Czy to niewłaściwe?

- Pamiętasz, jak zatrzymaliśmy się po drodze, żeby kupić szampana?

- Tak...

- Kupiłem wtedy jeszcze jeden drobiazg.

- Naprawdę? - Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Naprawdę. - Chance położył ją na łóżku, wyciągnął z kieszeni małą paczuszkę i rzucił ją na nocną szafkę, a potem wyciągnął się obok Jennifer.

- Mój ty bohaterze. - Uśmiechnęła się do niego. - Jesteś absolutnie niezwykły.

- Staram się.

- Nie pamiętałam, że mottem SEAL jest: „Bądź zawsze gotowy”.

- Pewnie, że jest. - Przyciągnął ją do siebie. - A zaczynałem przygotowywać się już ze skautami.

Jej ręce pobiegły do jego pasa. Wyciągnęła mu koszulę ze spodni.

- Ze skautami, tak? - szepnęła, wsuwając ręce pod materiał i głaszcząc go. - Więc przypuszczam, że umiesz także rozpalać ogień?

Jego uśmiech stał się szerszy. Poddawał się pulsującemu pragnieniu. Jedną ręką głaskał Jennifer, a gdy drżała coraz mocniej, mruknął:

- Nie będę potrzebował nawet dwóch drewniek do skrziesania pierwszej iskry.

Wygięła się ku niemu, położyła nogę na jego nodze.

- Nie - szepnęła. - Tego na pewno nie będziesz potrzebował.

Minęła godzina, a może dwie albo pięć - kto by to liczył! - zanim Jennifer wyszła z sypialni. Całe ciało miała miękkie i słabe.

Lekki uśmiech wykwitł na jej ustach, gdy, idąc do kuchni, musiała się oprzeć o ścianę. W bawialni paliło się światło, z ustawionego kompaktu płynęła muzyka.

- Powinnam to wyłączyć - szepnęła. Ale podejście do wieży wymagałoby zbyt wiele wysiłku. Musiałaby zrobić tyle kroków! - Nie - zdecydowała, bo wolała wykorzystać resztkę sił na dojście do kuchni i znalezienie czegoś do jedzenia.

Chance jeszcze spał, ale kto mógłby mieć mu to za złe? Po tym jak kochali się po raz trzeci, po prostu padł. Oczywiście, ona też ledwo żyła. Obudziło ją dopiero burczenie w brzuchu. Teraz szybko coś zje, a potem zaraz wróci do łóżka i przytuli się do tego swojego niewiarygodnie utalentowanego kochanka.

- Kochanek? - Wypowiedziała to słowo na głos, jakby je wypróbując, sprawdzając, jak brzmi. Ale jak inaczej miałyby go określić? Nie był jej chłopcem. Ani narzeczoną. I z całą pewnością nie był przygodą na jedną noc. A więc, powiedziała sobie, „kochanek” to akurat odpowiednia nazwa.

Jakie to dziwne. Nigdy nie myślała o sobie jako o kobiecie zdolnej do znalezienia sobie kochanka. Zawsze była porządną dziewczyną. Posłuszną córką. Kochającą żoną. Poświęcającą się matką. Dzielną wdową.

Marszcząc czoło na tę myśl, Jennifer zapaliła światło nad kuchenką. Wolała małą żaróweczkę niż jaskrawą lampę u sufitu, która by ją oślepiła. Dzielna? Hm! Nie była dzielna. To nie było tak, że miała jakikolwiek wybór. Po prostu robiła to, co musiała.

Tak samo jak dziś w nocy.

Och, rozpaczliwie potrzebowała tej nocy z Chance' em. Doskonale wiedziała, że nie mają przed sobą żadnej przyszłości, ale tym się w tej chwili nie przejmowała. Dzisiejsza noc jej wystarczy. Musi się tym zadowolić. A jeżeli po wyjeździe Chance'a serce będzie ją bolało, będzie je leczyła wspomnieniami tej nieprawdopodobnej znajomości.

Otworzyła lodówkę i zajrzała do środka, jakby spodziewając się, że niewidzialna ręka coś jej poda. Zimne powietrze przepłynęło po jej nagim ciele.

- Naga kręcę się po kuchni. - Roześmiała się na głos.

- I wyglądasz tak apetycznie, że mógłbym cię zjeść - odezwał się Chance stojący przy drzwiach.

Wzdrygnęła się.



- Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że śpisz.
- Dawałem odpoczynek oczom. Znów się roześmiała.
- Więc powinieneś iść do okulisty, bo twoje oczy chrapią.

Uśmiechnął się do niej półgębkiem i wsunął palce we włosy. Jennifer zapatrzyła się na grę jego mięśni pod nagą skórą. Ogarnęło ją podniecenie.

Dobry Boże, pomyślała ze zdumieniem. Jeszcze raz?

Musiał rozpoznać iskrę pożądania w jej oczach, bo podszedł, pochylił się nad nią i delikatnie musnął brodawkę jej piersi.

Ugięły się pod nią kolana.

- Obudziłem się, a ciebie nie było - poskarżył się, nie przestając jej pieścić.

Z trudem przełknęła ślinę, westchnęła i udało jej się wydusić z siebie:

- Byłam głodna.
- Ja też - przyznał, biorąc jej pierś w rękę.
- Och - jęknęła.

Odsunął ją od lodówki, oparł o ścianę i pieścił jej piersi, aż całe jej ciało zaczęło płonąć.

Wsparła płasko rozłożone dłonie o ścianę za sobą, szukając czegoś, czego mogłaby się przytrzymać. Owiewało ich zimne powietrze z lodówki, a ich rozpalone ciała drżały w miłosnym uścisku.

- Znów cię pragnę - szepnął Chance. Leciutkimi ugryzieniami wywoływał w niej coraz silniejsze dreszcze.

- Ja też - przyznała Jennifer, gdy wyprostował się i spojrzał jej w oczy. - Co się ze mną dzieje? Co się z nami dzieje?

- Kto by się tym przejmował. - Przesunął ręką w dół, sięgając do jej ud.

- Och, nie - odparła. - W każdym razie nie teraz.
- Moja kochana - szepnął, wziął ją na ręce i posadził na blacie.

Drewno było zimne, ale Jennifer to nie przeszkadzało. Wiedziała tylko, że natychmiast musi się z nim kochać. Musi go poczuć w sobie. Musi doświadczyć tych oszalałych dreszczy.

- Teraz, Chance - szepnęła, chwytając go za głowę i przyciągając do swoich ust. - Teraz złącz się ze mną.

Coś niewyraźnie mruknął i pocałował ją tak, że poczuła, jakby płynął

przez nią prąd.

Rozsunęła uda, wzięła go w siebie i oplotła nogami. Kołysał się nad nią, a ona wyginała się do przodu, odpowiadając na każdy jego ruch. Nigdy jeszcze nie doświadczyła podobnych rozkoszy. Nawet nie wiedziała, czym może być pożądanie, póki on jej tego nie nauczył.

Zanim go poznała, nigdy nie chodziła nago po kuchni. A teraz nawet nie mogła sobie wyobrazić, że znów mogłaby nosić ubranie, bo przecież oddalałoby ją ono od Chance'a.

Gdy przyłgnał do niej i złączyli się, trzymała go z całych sił i płynęła na fali rozkoszy, którą Chance potrafił wzbudzić.

- Uch - mruknął Chance nagle i ten cudowny nastrój nagle się rozwiął.

- Takie okrzyki to moja specjalność - szepnęła, opierając czoło na jego brodzie.

Chance uniósł jej podbródek czubkami palców, aż popatrzyła na niego.

- Gdzie jesteśmy? - spytał łagodnie. Odchrząknęła, zamrugnęła powiekami i rozejrzała się.

- W kuchni?

- Tak. A gdzie są prezerwatywy? Przez chwilę wracała do przytomności.

- Uch.

- Właśnie. - Chance wyplątał się z jej objęć i odstąpił krok do tyłu. Doskonale, Barnett, skarcił się w duchu. Teraz, gdy już jest za późno, by zacząć zachowywać dystans.

Jennifer zeskoczyła z blatu i poszła zamknąć lodówkę.

- No - zaczęła tonem, który, biorąc pod uwagę całą tę sytuację, wskazywał na jej spokój - teraz już nic nie można z tym zrobić, prawda?

- Chyba tak... - Pomyślał, że żadna kobieta, którą kiedykolwiek znał, nie zachowałaby się równie powściągliwie.

- Czego się po mnie spodziewasz? Że się rzucę do jeziora? - Jennifer wzruszyła ramionami. - Poza tym nie masz się czym przejmować. Pół roku temu zaczęłam brać pigułkę na uregulowanie cyklu, więc jestem zabezpieczona. - Spojrzała na niego pytająco. - A ty, mam nadzieję, jesteś zdrowy.

- Jestem - odparł szybko, chcąc ją uspokoić przynajmniej w tym względzie.

Skinęła głową.

- Czyli nic złego się nie stało.

- Ale... - zająknął się. Przecież chyba nie wywinie się z tego tak łatwo. - To była moja wina. Straciłem głowę. Powinienem być ostrożniejszy.

- Byliśmy ostrożni - powiedziała z krzywym uśmiechem. - No, prawie cały czas.

- Nie powiedziałem: my. To ja powinienem uważać.

To ja straciłem kontrolę nad sytuacją. Po raz pierwszy przydarzyło mi się coś takiego.

Jennifer ostro wciągnęła powietrze, wypuściła je i chwyciła Chance'a za rękę.

- Wiesz, kapitanie, to chyba najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek mi powiedziano - rzuciła z przekąsem.

- Większość kobiet by teraz na mnie wrzeszczała.

- Ja nie jestem większością kobiet. - Wzruszyła nagimi ramionami.

- To prawda.

- I miałam tak miłą noc, że nie chcę teraz tego psuć.

Odwróciła się i podeszła do blatu. Pogrzebała w puszcze z ciasteczkami, wyciągnęła czekoladowego chipsa i zjadła go. Potem powiedziała:

- Ponieważ jestem bezpieczna, bo ty jesteś zdrowy, po co martwić się tym, co już się stało?

- Jesteś zadziwiająca - powiedział po prostu.

- Dziękuję. - Zajęła się jedzeniem następnego ciasteczka. - I rzeczywiście, w tej chwili czuję się jakbym naprawdę była zadziwiająca.

Patrzył przez chwilę, jak zlizuje okruszki z ust, i znów ogarnęło go pożądanie. Tymczasem Jennifer podeszła do lodówki i wyjęła z niej mleko.

- Jesteś głodny? - spytała, jeszcze raz zanurzając się we wnętrzu lodówki. - Chcesz kanapkę?

- Jasne - mruknął, ze wzrokiem wbitym w jej gołe pośladki. Nie jedzenia potrzebował teraz najbardziej. Umysł wypełniały mu

chaotyczne myśli i obrazy.

Ledwo uniknął konsekwencji swego uniesienia i dobrze o tym wiedział. Ojcostwo mu nie zagrażało, więc powinien być zadowolony.

Ale nie był. A przynajmniej nie całkowicie. W innej sytuacji, z inną kobietą, odtańczyłby taniec radości. Ale to stało się z Jen. Zasmucił się, że nie poczęli dziecka.

Scandalous

---

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

---

Następny tydzień minął błyskawicznie. Jennifer błogosławiła los za wyrozumiałość chlebodawczynię. Gdyby pracowała gdzie indziej, nie mogłaby spędzać całych dni w szpitalu.

Oczywiście, mówiła sobie, wchodząc do poczekalni z dwoma parującymi kubkami kawy, że nie tylko Emmie była winna wdzięczność. Jej spojrzenie pobiegło do Chance'a, siedzącego na kanapce w poczekalni. Z uśmiechem pomyślała, że nikt nie wyglądałby tu bardziej nie na miejscu niż on. Długie, skrzyżowane w kostkach nogi wyciągnął przed siebie, i z mocnymi ramionami założonymi na piersi, w zamyśleniu wpatrywał się w szybę przed sobą. Wydawał się... taki potężny, wysoki, nierzeczywisty, by siedzieć tu nieruchomo od tylu dni. Pomyślała o niebezpieczeństwie.

W żołądku poczuła jakiś wir, gdy zdała sobie sprawę, że dotyczy to Chance'a. Jest dla niej zagrożeniem. W jakiś sposób podczas ostatnich kilku dni udało mu się ją oczarować. Ale prawda była taka, że Chance to tylko przelotna znajomość. Już niedługo wyjedzie, uda się w jakiś odległy zakątek świata i wystawi się na Bóg wie jakie niebezpieczeństwo.

Zacisnęła palce na kubkach tak mocno, że zbiały. O czym ona w ogóle do tej pory myślała? I do czego dopuściła?

Jak zdoła przeżyć jego wyjazd?

Chance spojrział na nią tak, jakby wyczuwał zawieruchę myśli Jennifer, i jego bursztynowe oczy spoczęły na jej twarzy. Nawet mimo tej odległości czuła gorąco płynące z tych złocistych głębi.

- Coś się stało? - spytał, wstając. - Coś z Sarah?

- Nie - uspokoiła go szybko. Niedawno była u małej, która smacznie spała.

- To dobrze. - Uśmiechnął się tym swoim leniwym uśmiechem, który zdążyła już poznać w ciągu ostatnich tygodni. - Przestraszyłem się, że może biorą ją z powrotem na OIOM.

- Ach, nie. - Jennifer zmusiła się do lekkiego tonu. - Lekarze nie zmienili zdania. Jutro zabieramy ją do domu.

- Więc co się stało, że jesteś taka zasmucona? - spytał, biorąc od niej kubek.

- Nic. - To było kłamstwo, i to nieudane. Zobaczyła to w jego oczach. Nie uwierzył jej.

Odgarnął jej włosy z twarzy, rzucił szybkie spojrzenie na parę siedzącą po drugiej stronie pokoju, ale ich pochłaniały nadawane w telewizji wiadomości. Mimo to zaczął mówić cichym głosem, żeby go nie usłyszeli.

- Jen, coś cię dręczy. Powiedz mi, o co chodzi. Westchnęła. Potem spuściła wzrok, bo bała się teraz

spojrzeć na Chance'a, i wpatrzyła się w tłustawą plamę na powierzchni kawy. Już zdążyła się przekonać, jak zręcznie Chance umie sobie z nią radzić. Wyciągnie to z niej, a ona nie była jeszcze gotowa, by mu powiedzieć, o czym myśli. Może nigdy nie będzie na to gotowa.

Wpuściła Chance'a do swojego serca, a teraz musi znaleźć sposób, by go stamtąd wyprowadzić.

- Myślę po prostu o Sarah i o tym, jak długo potrwa rekonwalescencja - powiedziała. - To wszystko. - Natychmiast ogarnęło ją poczucie winy. Jaką podłą matką musi być, skoro posługuje się swoją chorą córeczką, by wytłumaczyć się przed kochankiem?

Wszystko to wymknęło się już spod jej kontroli. Ale tym razem Chance jej uwierzył.

- Kotku, lekarze mówią, że Sarah za kilka dni będzie jak nowo narodzona.

Jennifer uchwyciła się tego tematu tak, jak rozbitek chwyta się tratwy ratunkowej.

- Na pewno potrwa to dłużej niż kilka dni - powiedziała, bardziej do siebie niż do Chance'a. Cały czas zastanawiała się, jak zorganizować czas rekonwalescencji Sarah. Będzie musiała zachowywać wielką ostrożność, dopilnować, by dziewczynka się nie zmęczyła bieganiami

albo zbyt ruchliwą zabawą, uważać, żeby nie od razu próbowała swoich nowych sił. Lepiej robić wszystko powoli, spokojnie. Pokręciła głową, mówiąc:

- Będziemy musiały postępować z najwyższą rozwagą.
- Jasne - przyznał Chance, a potem wypił trochę kawy. - Jeszcze co najmniej przez najbliższe dziesięć lat będzie się musiała powstrzymać od gry w futbol.

Jennifer usłyszała rozbawienie w jego głosie.

- Mówię poważnie! - wybuchnęła. - To była ciężka operacja i Sarah będzie potrzebowała dużo czasu na powrót do sił. Na zupełne wyzdrowienie.

- Skarbie, właśnie ta operacja ją wyleczyła. - Chance zmarszczył czoło, w tych jego zadziwiających oczach pojawiła się troska.

- Naprawili jej serce - sprecyzowała Jennifer. - Ale nie jest zdrowa. Jeszcze nie.

Chance chciałby wiedzieć, o czym właściwie Jennifer myśli. W ostatnim tygodniu zbliżyli się do siebie. A przynajmniej on tak to odczuwał. Całe dni spędzali razem w szpitalu, a noce w łóżku Jennifer. Znalazł przy niej coś, czego nigdy nie spodziewał się znaleźć. Związek. Poczucie przynależności, którego nie doświadczył, odkąd przestał być dzieckiem.

Od niedawna jego rodzinę stanowił tylko Douglas. Jedyna bliska osoba na całym świecie. Ale dotąd mu to całkowicie wystarczało. Teraz jednak chciał więcej. Pragnął być ważny dla innych ludzi. Chciał mieć dla siebie coś więcej niż tylko pracę. Chciał być integralną częścią życia Jennifer i Sarah.

A gdy sobie to uświadomił, chciałby również, by one go potrzebowały.

Jennifer uśmiechnęła się z roztargnieniem. Coś się z nią działo. Dręczyło ją coś jeszcze, prócz niepokoju o Sarah. A jemu było przykro, bo najwyraźniej nie chciała z nim o tym porozmawiać.

- Jennifer? - Jego rozważania przerwał cichy kobiecy głos. Spojrzał w stronę drzwi. Do poczekalni weszła Tara Connelly Paige.

- Taro - powitała ją Jennifer, wyciągając rękę. - Jak to miło, że przyszedłaś.

Tara skinęła głową Chance'owi, a potem zwróciła się do Jennifer.

- Chciałam tylko przynieść Sarah mały prezencik. - Podała Jennifer misia w stroju tancerki.

- Ucieszy się - powiedziała Jennifer. - Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co. My, samotne matki, musimy się nawzajem wspierać, prawda?

- Pewnie - potwierdziła Jennifer, rzucając spojrzenie na Chance'a.

Tara spojrzała na swój elegancki zegarek i westchnęła.

- Nie mogę zostać. Ale chciałam ci uświadomić, że wszystkie o tobie myślimy. A ja szczególnie. Wiem, jak trudno jest samej opiekować się dzieckiem i nie mieć z kim dzielić troski.

- Tak, wiem, że mnie rozumiesz. I dziękuję, że przyszedłaś.

- Ucałuj Sarah ode mnie, dobrze? Chance, miło cię było spotkać. -

Tara odwróciła się i poszła, stukając wysokimi obcasami. Przy drzwiach nagle się obejrzała. - Za tydzień czy dwa odwiedzę was w domu.

Zadzwoń, jak będziesz gotowa.

- Będziemy czekać.

- Jak miło, że przyszła - powiedział Chance, a jego głęboki, niski głos, przyprawił Jennifer o drżenie.

- Owszem.

- Na pewno dobrze się czujesz? - spytał.

- Tak - mruknęła, przyglądając się misiowi. Ale nie czuła się dobrze.

Zbyt wiele myśli kotłowało jej się w głowie, by mogła dobrze się czuć.

Samotna matka. Te dwa słowa poruszyły strunę, która i tak nieustannie dźwięczała gdzieś na dnie jej duszy. Do tej pory nie zdawała sobie z tego sprawy, ale prawda była taka, że rzeczywiście była całkowicie samotna, póki Chance nie pojawił się w jej życiu. Przez ostatnie trzy tygodnie zawsze był przy niej. Przy niej i przy Sarah.

Do licha, z ust córeczki bez przerwy słyszała słowo „Chanz”, a czasami nawet mówiła o nim „tatuś”. Zdając sobie nagle sprawę, jak ważny stał się dla nich obu, i jak wielką pustkę pozostawi po sobie, gdy wyjedzie, poczuła w sercu szarpnięcie. A wyjedzie na pewno, i to już niedługo. Jego rana prawie się wygoiła. Wkrótce znów uda się gdzieś na wojnę, prosto na linię ognia.

Do diabła, ona o to wszystko nie prosiła. Nie chciała się o niego



martwić. Nie potrzebowała po raz drugi przeżywać takiego bólu.

Potrzebowała kogoś statecznego. Przewidywalnego aż do znudzenia. Mężczyzny, który będzie codziennie kwadrans po piątej wracał z pracy do domu. Absolutnie nie potrzebowała kolejnego wojownika.

Zacisnęła palce na miękkim futerku misia. Więc dlaczego pokochała właśnie wojownika?

Dwa dni później Chance, zatrzymując samochód na podjeździe przed domem Jennifer, myślał o tym, że czuje się tak, jakby naprawdę wracał do domu. Dziwne uczucie u mężczyzny, który od czasów dzieciństwa nie miał domu.

Dziwne... ale miłe.

Wyjął kluczyki ze stacyjki, zaciągnął ręczny hamulec, a potem po prostu siedział. Siedział i patrzył na dom. Wyobrażał sobie Jennifer i Sarah tam, w środku, a siebie tysiące mil stąd.

Z jękiem chwycił kierownicę obiema rękami i ścisnął tak mocno, że wcale by go nie zdziwiło, gdyby rozerwał ją na pół. Ale to mu w niczym nie pomogło.

Wyjeżdżał. Otrzymał rozkazy. Właśnie dziś rano rozmawiał ze swoim dowódcą. Za kilka dni już go tu nie będzie. Wyruszy Bóg wie dokąd, w nieznane, a Jennifer i Sarah będą nadal żyły swoim życiem - bez niego. Za jakiś czas stanie się dla nich tylko mglistym, choć miłym wspomnieniem. Zresztą dla Sarah nie będzie nawet wspomnieniem. Jest za mała. Nie będzie go pamiętała. To bolało. Chance próbował zignorować swój ból, ale tkwił on za głęboko. Nawet po zranieniu nie czuł się tak źle.

I ten ból będzie już za nim szedł przez resztę życia. Chance wiedział o tym. Nie może na to pozwolić! Pragnie Jennifer. Potrzebuje jej. I wie dobrze, że ona czuje to samo.

Wreszcie wysiadł z samochodu, zatrzasnął drzwiczki i ruszył do domu jak człowiek wypełniający misję. W duchu przywoływał wszystkie argumenty, jakie Jennifer mogłaby wysunąć i znajdował na każdy ripostę. To będzie najważniejsza bitwa, jaką kiedykolwiek w życiu stoczył, i zrobi wszystko, by ją wygrać.

Przez uprzejmość zapukał do drzwi, ale nie czekał na odpowiedź. Otworzył je sobie sam i wszedł do domu, z którym wiązał tyle nadziei i

marzeń. Promienie słońca świeciły przez zasłony, tworząc koronkowe plamy na podłodze. Ogarnęła go fala ciepła i wciągała coraz głębiej do tego przytulnego pokoju.

- Tato?

Chance poczuł, jak serce nabrzmiwa mu ze szczęścia. Sarah już podnosiła się z podłogi i biegła do niego. Z wyciągniętymi ramionami opadł na kolana i uśmiechnięty czekał, aż dziewczynka z impetem w nie wpadnie.

- Sarah, nie! - Ostry głos Jennifer wtargnął w tę . chwilę radości i położył jej kres.

Sarah stanęła jak wryta i ze zmarszczonym czółkiem, układając buzię w podkówkę, przesuwała spojrzenie od matki do klęczącego w drzwiach Chance'a.

- Jest Chanz - powiedziała nadąsana.

- Widzę - odparła spokojnie Jennifer. - Ale nie możesz biegać, dziecino. Powinnaś chodzić. Powoli.

Chance niecierpliwie westchnął i podniósł się z klęczek. Podszedł do Sarah, wziął ją na ręce i wycałował. Mała uspokoiła się. .

Chance spojrzał na Jennifer, która właśnie podchodziła, by odebrać mu małą. Gdy miała ją już w ramionach, przesunęła ręką po jej ciele, od stóp do głów, jakby chciała się upewnić, że dziecku nic się nie stało.

- Jen, powinnaś z tym skończyć - powiedział z irytacją.

- Z czym? - spytała nieuważnie, nie odrywając spojrzenia do zaczerwienionej twarzy córki.

- Lekarze mówią, że Sarah czuje się dobrze, ale ty zachowujesz się tak jak przed zabiegiem.

W jej oczach rozpały się błyskawice.

- Niedawno wypisali ją ze szpitala - przypomniała gniewnie.

- To prawda - przyznał, zgadzając się z Jennifer przynajmniej w tym punkcie. - I wiem, że ciągle jeszcze jest to dla niej okres rekonwalescencji. Ale - dodał, muskając czubkami palców pulchny policzek Sarah - ona czuje się już całkiem nieźle. Mimo to za każdym razem, gdy próbuje choć troszkę okazać swoją niezależność, ty ją powstrzymujesz i owijasz w watę.

Jennifer uniosła głowę i patrzyła na niego z otwartymi ustami.

Skoro odebrało jej mowę, musiał wykorzystać okazję-

- Za bardzo się nad nią trzęsiesz - mówił łagodnie, z przekonaniem. - W ten sposób Sarah nigdy nie będzie mogła cieszyć się wolnością, jaką ta operacja miała jej dać.

- Nic nie rozumiesz. - Jennifer potrząsnęła, głową i jeszcze mocniej przytuliła małą.

- Owszem, rozumiem - odparł, bo naprawdę rozumiał. Wiedział, czego Jennifer tak się boi. Widział to w jej oczach od chwili, gdy się poznali. Myśl o utracie córki, którą tak kochała, zakuła ją w pancerz strachu. Ale teraz wszystko minęło. Sarah może dorastać jako zdrowe, silne dziecko.

Jednak Jennifer tego nie rozumiała. Widziała tylko zagrożenie, a nie dar, jaki obie otrzymały.

- Jak mógłbyś mnie zrozumieć? Nie było cię tu wtedy, gdy już od samego przejścia przez pokój siniała i nie mogła złapać tchu.

- Nie, ale...

- I to nie ty siedziałeś nocami przy jej łóżeczku, obserwując, jak jej pierś unosi się w oddechu i nie ty zamierałeś ze strachu, że następnego oddechu może już nie być. - Głos się Jennifer załamał, a Chance'a zabolowało serce. - I nie ty modliłeś się, żeby to nie był jej ostatni oddech - dodała ciszej.

- Jen! - zawołał, nie mogąc już znieść jej cierpienia. Nie dała mu dojść do słowa.

- Zaczekaj! Ja ciebie wysłuchałam, teraz twoja kolej, żebyś wysłuchał mnie. - Obejmując rozpaczliwie córkę, kontynuowała: - Chance, ty nigdy nie zdołasz zrozumieć, co ja czuję i przeżywam. Sarah nie jest twoim dzieckiem. - Zamilkła, uniosła głowę i zaczerpnęła tchu. - Więc nie masz tu nic do powiedzenia.

Sarah wzdrygnęła się i zapłakała. Jennifer natychmiast zaczęła ją kołysać, próbując uspokoić.

Chance tylko na nie patrzył. Poczul się zraniony do głębi duszy.

- Masz rację - powiedział wreszcie łagodnie, przepychając siłą słowa przez węzeł, jaki utworzył mu się w gardle. - Nie jest moją córką. Ale my, cała nasza trójka, razem przeszliśmy przez te trudne tygodnie. - Zacisnął na chwilę zęby. - I myślałem, że będziemy... Nieważne. -

Jennifer wyrzuciła go ze swego życia, a to bolało bardziej niż chciałby przyznać, nawet przed sobą.

Zresztą przed nią też za nic by się do tego nie przyznał. Jednak w grę wchodziło coś więcej niż tylko zranione uczucia. Musiał myśleć o Sarah i jej przyszłości. Bo, niezależnie od tego, co Jennifer sobie wyobraża, kochał to dziecko, więc miał prawo się wypowiedzieć.

- Jasne - warknął, pozwalając, by ból zabarwił jego głos. - Nie jestem jej ojcem. Ale kocham ją tak, jakby była moja. I nie będę stał bezczynnie i patrzył, jak ty ją ograniczasz i tłamsisz.

- Ja ją tłamszę?

Usłyszał w jej głosie oburzenie, ale kontynuował swoją wypowiedź. Sprawa była zbyt ważna, by ją przemilczać. Zresztą ktoś w końcu musiał Jennifer to powiedzieć.

- Jen, nie możesz chronić Sarah do końca życia. Ona musi biegać i upadać. Musi zadrapać sobie czasami kolano i wyleczyć je.

- Dlaczego? - parsknęła. - Dlaczego wy, mężczyźni sądzą, że ból jest nieodłącznym elementem życia? Czemu miałabym nie próbować jej chronić przed bólem? Dopilnować, by była bezpieczna?

Sarah rozkrzyczała się na dobre, ale Jennifer i Chance już nie zwracali na to uwagi, kłócąc się, chociaż Jennifer automatycznie głaskała małą.

- Życie nie wymaga od nas, byśmy bez przerwy podejmowali ryzyko! - krzyknęła Jennifer, patrząc na niego ze złością.

- Oczywiście, że tak. - Położył jej ręce na ramionach. - Życie polega na podejmowaniu ryzyka. Każdego rana, kiedy się budzimy, ryzykujemy, że wszystko się skończy. Że to nasz ostatni dzień.

Jennifer zbladła, ale on już na nic nie zważał.

- Na tym właśnie polega życie. - Uniósł ręce wysoko, a potem pozwolił im opaść. - Dlatego tak ważne jest, jak spędzamy każdy cholerny dzień. Wszyscy kiedyś umrzemy, Jen. Ważne jest to, jak się żyje.

Jennifer pokręciła głową. Nie będzie tego słuchała. Widział to w jej oczach. Ogarnęła go frustracja. Do diabła, nie przyszedł tu, by z nią walczyć. Nie chciał doprowadzać do kłótni. Nie teraz, gdy zostało mu już tak mało czasu, by z nią być. Wkrótce znów wyjedzie i ta przytulna przystań stanie się jedynie wspomnieniem. Na myśl o tym poczuł, jak

ogarnia go zimno. To, na co miał taką nadzieję, wyslizgiwało mu się z rąk.

- Chcę, by Sarah była bezpieczna - powiedziała Jennifer w napięciu.  
- Miała dość ryzyka jak na tak krótkie życie. Teraz już nigdy nie powinna cierpieć. Nie pozwolę, by dorastając doznawała rozczarowań, bólu, samotności albo... - Jej głos się załamał.

O to właśnie chodzi, pomyślał Chance. Tym prawdziwym wrogiem, jakiemu musi stawić czoło, nie jest lęk Jennifer o Sarah. Prawdziwym wrogiem jest fakt, że ona tak bardzo próbuje chronić własne serce.

- Tobie nie chodzi tylko o dziecko, prawda? - spytał ostro, pragnąc dotrzeć do prawdy teraz, gdy jeszcze było to możliwe. - Kogo tak naprawdę starasz się chronić? Sarah? Czy też siebie?

Scandalous

---

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

---

Jennifer z trudem powstrzymywała się od płaczu.

Zrozumiała, że Chance miał rację i w tym, co dotyczyło jej strachu przed zaangażowaniem się, i w tym, co dotyczyło powodów, dla których tak się trzęsła nad Sarah. Rozsądek mówił jej, że powinna przestać traktować córkę tak, jakby była ze szkła. Ale ta ochrona było czysto instynktowna.

Podobnie musiała chronić własne serce. Gdyby pozwoliła sobie kochać Chance'a, a on zostałby jej odebrany, nie przetrwałaby tego. Straciła Mike'a i jakoś przeżyła. Ale wobec Chance'a czuła wiele więcej, aż ją to przerażało. I jeśli za uniknięcie bólu - który z całą pewnością by ją zniszczył - ma zapłacić o wiele mniejszym cierpieniem teraz, to właśnie tak musi postąpić.

Podjąwszy to postanowienie, zebrała siły do powiedzenia tego, co trzeba było powiedzieć.

- Powinieneś odejść. Teraz.
- Co takiego?

Wydawało się, że jej nie uwierzył i nie miała mu tego za złe. Nie mógł się spodziewać takich jej słów.

- Tak będzie lepiej. Dla wszystkich. - Jennifer z trudem przełknęła ślinę. - Mówię poważnie. Chance, odejdz. Po prostu sobie idź.

Roześmiał się sztucznie, ponuro.

- Żartujesz sobie, prawda?
- Nie - powiedziała, przytulając jeszcze mocniej płaczące dziecko. -

To nie żart. Chcę, żebyś odszedł.

- Nie ma mowy. - Skrzyżował ręce na szerokiej piersi i ustawił nogi tak, jakby zamierzał zapuścić tu korzenie.

- Chance, nie widzisz, że to jedyne, co można zrobić?

- Widzę coś innego. Naszą kłótnię wykorzystujesz jako pretekst, żeby mnie stąd przepędzić.

Wzdrygnęła się, ale nie poddała.

- Dlaczego starasz się to jeszcze bardziej utrudnić?

- To nie ja utrudniam, lecz ty - zawyrokował Chance. Sarah płakała coraz głośniej. Jennifer kołysała małą, bezskutecznie próbując ją uspokoić, chociaż jej samej serce pękało. Spojrzała na Chance'a, wiedząc, że może po raz ostatni patrzy w jego oczy. Zamarła na tę myśl, ale nie miała wyboru. Pewne rzeczy muszą zostać powiedziane. Lepiej teraz niż później.

- Słuchaj - zaczęła, podnosząc głos, by było ją słychać przez płacz Sarah. - Oboje wiedzieliśmy, że tak się musi stać. Chance, ty do nas nie należysz.

- My - powiedział wściekły Chance, akcentując słowo „my” - należymy do siebie.

Och, Boże. Zanim zdążyła zrobić coś naprawdę głupiego, na przykład rzucić mu się na szyję i błagać, by nigdy od niej nie odszedł, potrząsnęła głową. Oślepiały ją łzy i włosy, które opadły jej na twarz.

- Nie, nie należymy do siebie. Ty kochasz niebezpieczeństwo i przygodę, a ja dom i najbliższych. Nie możemy być razem. To by nigdy się nie udało. To... to... było tylko chwilowe... i oboje o tym wiedzieliśmy.

W jego oczach zobaczyła ból. Ogarnęło ją współczucie dla niego, ale i dla siebie.

- Naprawdę? - spytał z wyrzutem. - Dziwne, bo mnie się to wcale nie wydawało chwilowe. - Jeszcze raz wyciągnął do niej rękę, ale ona odstąpiła o krok, zdecydowana zachować dystans. Gdy znów się odezwał, w jego głosie usłyszała złość. - Do diabła, Jen, ty naprawdę się ze mną żegnasz. Dlaczego? I dlaczego właśnie w ten sposób?

Gorące łzy popłynęły jej po policzkach, gdy szepnęła:

- Bo tak musiało się stać. Nie potrafisz tego zrozumieć?

- Nie - odparł ostro, kręcąc głową. - Nie potrafię. Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem, a odwracasz się plecami do szansy, jaką oferuje ci życie, bo boisz się z niej skorzystać.

Jennifer wzdrygnęła się tak, jakby Chance ją odtrącił.

- Nie rób tego, Jen - poprosił cicho.
- Muszę. Dla dobra nas wszystkich.
- Do cholery, ja cię kocham!

Wydawał się zdumiony tym oświadczeniem tak samo jak ona. Zdecydowanie Jennifer osłabło. Chance ją kocha. Kochają mężczyzna, którego ona sama też szalenie kocha.

Ale to niczego nie zmienia.

- Żegnaj, Chance - szepnęła.

Miała wrażenie, że jego twarz staje się obca i po raz pierwszy odkąd go poznała, zobaczyła w nim tego zawodowego, twardego, nie ulegającego porywom serca żołnierza, jakim w rzeczywistości był. A bursztynowe oczy Chance'a rozgorzały ogniem, gdy żal i cierpienie ustąpiły miejsca złości.

Czule pogłaskał Sarah po główce i odwrócił się tak sztywno, jakby był na paradzie. Jennifer patrzyła, jak przemierza pokój, patrzyła, jak otwierają się frontowe drzwi, patrzyła, jak Chance przekracza próg i spokojnie zamyka za sobą drzwi.

Potem usłyszała jeszcze tylko swój szloch i cichutki głos córeczki, wołającej tatusia.

Trzy dni później cisza panująca w domu zmusiła Jennifer do powrotu do rezydencji Connellych. Do pracy. Musiała czymś się zająć, żeby nie zwariować. Odwrócić uwagę, w jakiś sposób zapełnić puste godziny, które tak rozpaczliwie się wlokły.

Czuła się jak przepuszczona przez wyżymaczkę. Płakała, aż wreszcie nie pozostała jej ani jedna łza. Ale to w niczym nie pomogło. W jej sercu krwawiła boląca, otwarta rana i, co gorsza, Jennifer z całą pewnością wiedziała, że ta rana nigdy się nie zagoi. Mogła tylko mieć nadzieję, że powoli wróci do normalnego życia. Do tego, co było, zanim poznała Chance'a.

W świecie bez Chance'a, w jakim przyszło jej teraz żyć, nie było nic, co mogłoby ją pociągać.

Westchnęła, posadziła Sarah trochę wyżej na biodrze i powiedziała sobie, że powinna być wdzięczna losowi nawet za drobne łaski. Na przykład za to, że Emma pozwoliła jej brać ze sobą Sarah do pracy, bo inaczej by się o nią za bardzo martwiła.



- Poradzimy sobie, skarbie. Zobaczysz - obiecała, gdy o tym rozmawiały.

- Chanz? - Sarah rozglądała się po wielkim holu rezydencji Connellych.

Jennifer też omiotła hol spojrzeniem, chociaż przypuszczała, że Chance wyjechał już kilka dni temu. Po ich kłótni na pewno nie chciałby dłużej zostać w mieście.

- Nie, dziecinko. - Jennifer pokręciła głową i zmusiła się do uśmiechu. - Chance wyjechał.

Jennifer miała wrażenie, że te dwa krótkie słówka aż wysały powietrze z holu, tak więc pospieszyła do gabinetu Emmy, by powrócić do swoich obowiązków.

Zastała tam Seta, który właśnie żegnał się z Emmą. Powitał Jennifer uśmiechem i zwrócił się jeszcze do Emmy, którą dotąd uważał za matkę:

- Zadzwoń po powrocie od Angie.
- Dobrze - powiedziała Emma. - Ale uważaj na siebie. .
- Na pewno. Nie martw się o mnie.

Odwrócił się i poszedł do drzwi, zatrzymując się tylko, by pocałować Sarah. Od drzwi jeszcze pomachał matce i wyszedł.

Emma na sekundę spoważniała, ale zaraz uśmiechnęła się do Jennifer.

- No i jak się czuje nasza Sarah? - spytała.
- Bardzo dobrze.
- Chanz pojechał? - spytała Sarah i jej usta wygięły się w podkówkę.
- Tak - powiedziała Jennifer.
- Nie - wpadła jej w słowo Emma.
- Nie wyjechał? - Jennifer przeszła fala gorąca.
- Jeszcze nie - wyjaśniła Emma, biorąc Sarah na rękę. - Wyjeżdża pojutrze.

Emma przyglądała się bacznie Jennifer, która zastanawiała się, czy szefowa widzi, jak jej serce właśnie w tej chwili rozdziera się na strzępy. A więc Chance jeszcze tu jest. Ale wyjedzie. Wyjedzie, nie wiedząc, że ona go kocha.

Poczuła dreszcze, więc objęła się w pasie rękami. Nie mając teraz Sarah w ramionach, czuła się całkowicie sama. I ogarnęło ją zimno, o którym instynktownie wiedziała, że już nigdy jej nie opuści.

- Och, Boże - szepnęła. Chciałaby, żeby ktoś jej powiedział, jak w tej sytuacji powinna postąpić.

- Jennifer - odezwała się miękko Emma. - Miłość to cenna wartość. Uwierz mi, bo ja coś o tym wiem. - Uśmiechnęła się ze smutkiem i mocniej przytuliła Sarah. - Widziałam, jak Chance na ciebie patrzy... i jak ty patrzysz na niego.

- Emmo...

- Skarbie - Emma nie dała sobie przerwać - jeżeli pozwolisz umrzeć miłości, która jest między wami, będziesz tego żałowała do końca życia.

Będziesz żałowała. Te słowa wypełniły umysł Jennifer, tłukły się w jej głowie coraz "mocniej, coraz bardziej natrętnie, aż wreszcie zaczęły pulsować w rytm bicia jej serca. Bo przecież ona już żałowała tylu rzeczy. Żałowała, że nie powiedziała Chance'owi, iż go kocha. I tego, że akurat teraz musiała brać te głupie pigułki hormonalne i nie poczęła dziecka już podczas pierwszej magicznej nocy, którą z nim spędziła. I jeszcze tego, że wysłała go tam, gdzie grozi mu niebezpieczeństwo, udając, że nic ją to nie obchodzi.

A w miarę upływu czasu będzie jeszcze gorzej. Wiedziała o tym. Trudno jej było oddychać, wyobraźnia podsuwała jego twarz, jego uśmiech, jego dotyk, jego pocałunki. Wszystko to i jeszcze więcej będzie ją nawiedzało i przyprawiało o cierpienie do ostatniego dnia życia.

I za każdym razem, gdy będzie o nim śniła, będzie również musiała przyznać, że to ona z nim zerwała. Że to ona nie miała dość siły i odwagi, by chwycić to, czego najbardziej pragnęła i już nigdy nie wypuścić z rąk.

Lata, które nadejdą, będą się ciągnęły rozpaczliwie, widziała przed sobą tylko czarną, pustą przestrzeń. Bez śmiechu. Bez pocałunków. Bez szeptania sobie na ucho. Żadnych dzieci oprócz Sarah. Żadnych, ramion, które tuliłyby ją w nocy.

- Och, mój Boże - wyjąkała przez zaciśnięte gardło. - Jaka ja jestem głupia.

- Ale na szczęście trochę rozumu ci jeszcze zostało - roześmiała się Emma.

- Gdzie on jest?

- W porcie.

Jennifer radośnie się uśmiechnęła, pochyliła i wycisnęła całusa na czole Sarah.

- Zajmiesz się nią? - poprosiła Emmę.

- Jasne! - zawołała Emma, bo Jennifer, nie czekając na odpowiedź, już biegła do drzwi.

W porcie marynarki wojennej Jennifer rzuciła pieniądze taksówkarzowi, krzyknęła, żeby zatrzymał sobie resztę i wyskoczyła z samochodu. Na szczęście był to dzień powszedni, kiedy portu nie nawiedzają chmary turystów, więc nie straci czasu na przepychanie się przez tłum.

Biegła przed siebie, prześlizgując się baczynym spojrzeniem po twarzach mijanych osób. W głowie tłukła jej się tylko jedna myśl: musi znaleźć Chance'a, jakoś sprawić, by uwierzył, że nie miała racji, że żałuje tego, co zrobiła, że rozumie swój błąd. I musi mu powiedzieć, że go kocha.

Powierzchnię jeziora Michigan chłostał silny wiatr, odpychał Jennifer, niemal usiłował zwolnić jej bieg.

Odgarnęła włosy z twarzy i przyglądała się ludziom, szukając tej twarzy o rzeźbionych rysach, tych krótkich, ciemnych włosów i nagłego uśmiechu. I tych bursztynowych oczu.

Z głośników buchała muzyka, gromadka uczniów będących na szkolnej wycieczce zmierzała na molo, gdzie jeden z okrętów marynarki zabierał turystów w objazd po porcie. Sprzedawcy proponowali cukrową watę i hot dogi, ale Jennifer nie zwracała na to wszystko uwagi, skupiona jedynie na swoim celu.

I w końcu go zobaczyła. Wychodził z któregoś sklepu. Wystawił twarz na słońce, a serce Jennifer stopniało.

- Chance! - zawołała i już do niego biegła. Odwrócił się i przystanął, zdumiony. Postanowiła nie dawać mu czasu do namysłu. Zaszła już daleko, więc teraz nie pozwoli się powstrzymać. Nie teraz, gdy nareszcie wszystko zrozumiała.

Z rozpędu rzuciła mu się na szyję tak gwałtownie, że się zachwiała. Ale wiedziała, że może polegać na jego sile i że ją utrzyma. Nie zawiodła się. Zresztą Chance ani chwili się nie zawahał. Objął ją z całej siły i podniósł z ziemi, a ona przycisnęła usta do jego ust w pocałunku,

który miał mu powiedzieć, jakie lęki do tej pory trzymały ją z dala od niego.

Otoczający ich ludzie zaczęli bić brawo. Przyjęła to obojętnie, bo dlaczego cokolwiek miałyby ją obchodzić? Liczył się tylko Chance. I to, że wreszcie znalazła się w jego ramionach. Tam, gdzie jest jej miejsce.

W końcu jednak przerwała pocałunek. Spojrzała w górę, w te oczy, w których lśniła obietnica. I zanim zdążył zadać pytanie, jakiego się spodziewała, zaczęła mówić.

- Chance, rozumiem - wyrzucała z siebie jednym tchem. - Wiem, co chciałeś mi powiedzieć tamtego dnia. Nie warto żyć, jeżeli boisz się zaryzykować wszystkiego, co masz...

- Jen...

- Nie - przerwała mu szybko, leciutko się odsunęła, by móc delikatnie przesunąć palcem po jego twarzy. - Pozwól mi mówić. Muszę wszystko powiedzieć.

Skinął głową.

- Kocham cię, Chance. - I gdy już wypowiedziała te słowa, roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu i ciesząc się radością, jaka przez nią płynęła. - Już nie boję się tego powiedzieć. Jedyne, czego się boję, to tylko twojej nieobecności. Nie mogłabym żyć bez ciebie.

Wokół nich zbierała się grupka ciekawskich.

- W końcu to zrozumiałam - mówiła dalej Jennifer, pragnąc, by jej uwierzył, by wyczytał z jej oczu prawdę. - Miłość. Tylko to ma znaczenie. A jeżeli człowiek ma tyle szczęścia, że ją spotka, nie powinien być na tyle głupi, by odwrócić się od niej plecami.

Jego uścisk stał się mocniejszy, ale był to jedyny znak, że ją słyszy. Mijały sekundy i Jennifer już się wystraszyła, że czekała za długo ze swoim wyznaniem.

Że straciła jedyną okazję, jaką dawało jej życie, bo bała się ją chwycić, gdy był jeszcze na to czas.

A gdy Chance ostrożnie postawił ją na ziemi, poczuła zwątpienie. Nie chce jej? Zrobiło jej się zimno i źle się poczuła. Ale wtedy uśmiechnął się, sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej pudełeczko obite zielonym atłasem.

Jennifer zabrakło tchu. Patrzyła w jego oczy i widziała w nich tylko

miłość.

Chance czuł się tak, jakby ktoś właśnie zdjął mu z ramion ważący wiele ton ciężar.

- Te dni bez ciebie były najgorszymi dniami w moim życiu - powiedział, a pod jej powiekami wezbrały łzy. Chance nigdy jeszcze nie ucieszył się na czyjś widok tak, jak teraz na widok Jennifer. Gdy zawołała go po imieniu, wydawało mu się, że jest to odpowiedź na modlitwę samotnego człowieka. - Nie jestem przyzwyczajony do tego, by potrzebować... innych ludzi - powiedział i chwilę milczał, zanim dodał: - Ale ciebie potrzebuję, Jen. Ciebie i Sarah. I chcę ci powiedzieć, że właśnie do was szedłem.

- Naprawdę? - spytała i wytarła łzę płynącą po jej policzku.

- Tak - mruknął, przypominając sobie plan, jaki uknuł, by rozpocząć tę najważniejszą bitwę w swoim życiu. Gdyby musiał, zażądałby dodatkowego urlopu. Zostałby w Chicago tak długo, jak długo byłoby trzeba na przekonanie Jennifer, że go kocha. - Nie zamierzałem pozwolić, żebyście ty i nasza córka - Chance zaakcentował słowo „nasza” - odeszły ode mnie. Uśmiechnęła się.

- Chcę stanowić część waszego życia - kontynuował pośpiesznie, wypowiadając wszystko to, co przygotowywał przez cały ranek. - Chcę do kogoś należeć i chcę być z wami.

- Och, Chance, my należymy do siebie. Po prostu do tej pory za bardzo się bałam, żeby to przyznać.

- Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego przez łzy.

- Właściwie nadal się boję. Ale wolę raczej bać się z tobą niż bez ciebie.

Gwałtownie, głęboko wciągnął powietrze i skinął głową.

- To dobrze, bardzo dobrze. Jen, nie mogę ci obiecać, że będę żył zawsze. Nikt nie może złożyć takiej obietnicy. Ale obiecuję ci, że zawsze będę cię kochał.

- Trzymam cię za słowo - ostrzegła.

- Wiem.

- Och, jeszcze jedno - powiedziała, nie zwracając uwagi na coraz grupę gapiów.

- Co takiego? - spytał ostrożnie.

- Obiecaj mi dzieci - zażądała. - Chcę mieć z tobą dzieci.
- Ja też, skarbie - zgodził się z nią i pocałował ją szybko i mocno. Z wrażenia aż podkurczyła palce nóg.
- Im więcej, tym weselej. Ale po kolei. - Otworzył zielone aksamitne pudełeczko. - Tam jest coś dla ciebie.

Jennifer popatrzyła na pierścionek z brylantem i aż jęknęła z zachwytu. Korzystając z jej zaskoczenia, Chance ukląkł na jedno kolano, ujął jej lewą dłoń i wyrzekł głośno, z dumą:

- Jennifer Anderson, kocham cię bardziej, niż myślałem, że można kogoś kochać. I jeżeli zechcesz mnie poślubić, przez resztę życia będę ci to udowadniał.

- A ja - odpowiedziała Jennifer - spędzę resztę życia, dziękując opatrności za to, że mi cię zesłała.

- Mam z tego zrozumieć, że mówisz „tak”? - spytał, a kąciki ust uniosły mu się w uśmiechu.

- Och, jasne!

Chance wsunął jej pierścionek na palec, zanim mogłaby zmienić zdanie i przypieczętował to miejsce pocałunkiem. Potem objął ją mocno w pasie i unióśł wysoko.

Jennifer uśmiechnęła się radośnie. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła się szczęśliwa.